



Cena 1 zł

odgłosy

nr

5

(49)

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 1 lutego 1959 r.

list pierwszy

Zapewne jestem, panie redaktorze, naiwnym prostaczkiem. Prostaczkowi zawsze wiatr w oczy wieje. Zamierzałem — jak na szanującego się reportera przystało — złożyć wizytę w Komendzie Powiatowej MO w Sieradzu. Ledwie o tym pomyślałem, a już się tam znalazłem. W charakterze przymusowo doprowadzonego.

Początkowo dziwiłem się, teraz już nie. A więc zdziwiony, nie pytany, wszedłem do wskazanego pokoju. Trzech drabów — widać niezbyt wielkich entuzjastów Milicji Obywatelskiej nawzajem przekonywało się, że o żadnym drzewie nie wiedzą. Stwierdzam, że takie dodawanie otuchy dobrze robi. Po słowach jednego z obecnych: „tylko nie nawal!” i mnie zrobiło się rażniej. Wreszcie wszedł sierżant, grzecznie pytał o nazwisko, gdzie mieszkam, gdzie i po co robiłem zdjęcia i poszedł. Potem przyszedł jakiś starszy, widać dyżurny i mniej grzecznie powtórzył pytanie.

Dopiero gdy zjawiłem się przed obliczem „najwyższego”, sytuacja wyjaśniła się. Komendant okazał się człowiekiem kulturalnym i bardzo wyrozumiałym. W przyjemnej rozmowie, bez szablonych pytań dowiedzieliśmy się, ktem jest. Uradowany sprawnością działania milicji, wyjąłem aparat fotograficzny marki „Zorka”, pióro i papier. Ułożone na stole „atrybuty szpiegowskie” — sądząc po minie — nie przekonały mojego rozmówcy o roli, jaką mi imputowano. Potem wypuścili *).

Obiecałem panu „reportaż z dreszczykiem”. Niestety — jak widać z powyższego nie będę mógł tego uczynić. Za to z wielkim entuzjazmem ruszę w teren — do Burzenina. O czym zawiadamia pana niepo-

reporter

list drugi

Im bliżej byłem Burzenina, tym większy ogarniał mnie optymizm. Widzi pan, w mieście wystarczy, że komuś wejdiesz pan na na-

(Dalszy ciąg na str. 6)



CLAIRE KELLY

SPRAWA
PANA
TZBIGNIEW
CHYLIŃSKI

STANAŁEM W TYCH DNIACH PRZED SĄDEM. BROŃ BOŻE, ŻEBYM COŚ PRZESKROBAŁ. DEBIUTOWAŁEM W SPRAWIE KARNEJ JAKO ŚWIADEK.

CZŁOWIEK NIGDY NIE WIE CO GO MOŻE SPOTKAĆ I JAKIMI DROGAMI ZAWĘDRUJE PRZED OBLICZEM SPRAWIEDLIWOŚCI.

LATEM UBIEGŁEGO ROKU UCIEKAŁEM NIERAZ Z ROZZARZONEGO MIASTA NA JULIANÓW. MIESZKAŁI TAM WÓWCZAS PAŃSTWO N., MAŁŻEŃSTWO PLASTYKÓW. MOI ZNAJOMI Z LAT WSPÓLNEJ PRACY W GAZECIE. PAŃSTWO N. PRZEŻYWAŁI PEWNE KŁOPOTY FINANSOWE. I NIE TYLKO FINANSOWE. WYMIERZONO IM GRUBY PODATEK ZA TO, ŻE ZLECONĄ PRACĘ ARTYSTYCZNĄ WYKONALI PRZY CZĘŚCIOWYM UDZIALE NIE ARTYSTY-PLASTYKA, LECZ RZEMIEŚLNIAKA, NIEJAKIEGO PANA O.

Nigdy nie pojąłem i nie kom tzw. domiar i potrą-
pójme, jakim prawem zas-
tawano ich jako przedsię-
lono mym znajomym plasty-
biorców, skoro ową pracę po-



mocnieją przewidują odpowiednie klauzule i w danym przypadku dopuszczała umowę zleceniową, zawartą pomiędzy panem N. a działającą na zasadzie ministerialnych przepisów Pracownia Sztuk Plastycznych Warszawy. Dość, że państwo N. byli pod opieką władz kontrolno-rewizyjnych i skarbowych. Dość, że Bogu ducha winni znaleźli się również w zszerszym podejrzaniu w związku z tym, że ich legalnego pomocnika posadzono w pewnej chwili pod zarzutem nielegalnego posiadania surowców i to z nielegalnych źródeł. Jednym słowem państwo N., których latem odwiedzałem, przeżywali kłopoty finansowe. I nie tylko. Prześladowywałem tedy u nich któreś tam, czerwcowe bodaj, popołudnie. Śledzieliśmy w kuchni, która w dobie rakiet kosmicznych z powodzeniem zastępuje staroświecki salon.

W pewnej chwili w pokój zadzwonił telefon i gospodarz pośpieszył go odebrać. Kiedy długo nie powracał, parokrotnie zaglądałem, dając znaki zniecierpliwienia. Nie zatrzymywałem się na dłużej, żeby śledzić tok rozmowy, bowiem grzeczność na to nie pozwala. Chociaż z zaszyszanych strzępów i urywków wnioskowałem, że rozmowa jest dla gospodarza równie ważna jak niemilka.

Spostrzeżenie moje potwierdził pan N., skoro odłożywszy słuchawkę wrócił do kuchni. Podniecony a pobladły, relacjonował żonie, iż dzwonił pan T. z pretensjami: „Panie N., ma pan za długi język... Nie dam głowy, że już wówczas padła ta literka „T”, ale zdanie „Panie N., ma pan za długi język” pamiętam absolutnie dokładnie.

Z dalszych słów pana N. wynikało, że osobnik telefonujący mu groził. Oczywiście, nie słyszałem głosu osobnika, ale miałem i mam absolutną pewność, że rozmowę z nim pan N. był wyraźnie a mocno przestraszony. Chciałem go uwolnić od uczucia strachu i dlatego jałem dopytywać o szczegóły, których pan N. mi jednak skąpił, powiadając, że ma

żonę i dzieci i że chciałby nadal chodzić po ziemi zdrowy i cały. Rzekłem wtedy mu, jak woli, ale że się żadnych gróźb nie puszcza płazem i że przezornie byłoby na przyszłość podłączyć do telefonu magnetofon i takiego pana grożącego nagrać. Namawiałem gospodarza, to jest pana N., aby i w tym stanie rzeczy złożył doniesienie do władz, jeśli już się boi mnie w tej sprawie zaufać. Notabene, miałem chętkę osobiście wziąć na warsztat sprawę, bo uważam, że dziennikarz winien być po trosze detektywem.

Po tym przykrym epizodzie odwiedziłem jeszcze parę razy państwo N. Przeżywali nadal kłopoty finansowe i nie tylko. Z końcem lata opuścili Łódź i przenieśli się do W. Z tym wyjazdem państwa N. ów epizod z telefonem wyleciał mi z głowy.

Gdzieś jesienią ubiegłego roku zawezwano mnie do Prokuratury Wojskowej. Zrazu nie pojąłem celu mego zawezwania, wkrótce jednak zrozumiałem, że pan N. usłuchał dobrych rad i wyniósłszy się z Łodzi zdecydował się w końcu złożyć doniesienie do Prokuratury Generalnej i że właśnie toczy się śledztwo przeciwko arestowanemu a dla mnie dotąd mitycznemu panu T. Oczywiście prokurator wymienił mi jego nazwisko i rangę. I że zawezwany jestem w tej sprawie jako świadek. Także co tu rzekłem, uprzedzony o odpowiedzialności z art. 140 KK zeznawałem prokuratorowi. Także zeznawałem i przed Sądem. Także i na sądzie ostatecznym zeznawać gotów jestem.

II.

W sali rozpraw Komendy Garnizonu Łódzkiego na procesie mjr. T. mimo niedogodnej przedpołudniowej pory, nie zabrakło nikogo, kto mógł opuścić swój cywilny bądź wojskowy warsztat pracy. Nie zabrakło też nikogo ze świadków.

Część przewodu dowodową, jak się później dowiedziałem, otworzyło przesłu-

(Dalszy ciąg na str. 5)

MÓJ DEBIUT PRZED SĄDEM

Mistrz i czeladnik

Chciałbym w tym artykule zasygnalizować i podzielić się z Czytelnikami kilkoma spostrzeżeniami — w swoim osobistym mniemaniu — niezmiennie istotnymi dla prawidłowego rozwoju i przyszłości nauki polskiej. Chodzi mi o poważną grupę pracowników wyższych uczelni, którą w urzędowej terminologii nazywa się „pomocniczymi pracownikami naukowymi”.

Dla uniknięcia nieporozumień powiem od razu, że zamiast używać długiego omownego terminu, mówić będę krótko — asystenci. Zastrzegę się muszę, że nie idzie mi konkretnie o takich lub innych ludzi, interesuje mnie przede wszystkim grupa. Nie należy przeło pod opisane zjawiska podstawić konkretnych ludzi.

Mam jednak pewne wątpliwości, czy można mówić o asystentach, jako o jednolitej grupie? Są to wprawdzie pracownicy, których, jeśli patrzeć od strony ustaw i przepisów, praw i obowiązków, ich miejsca w życiu uczelni — wiele łączy. Natomiast, jeśli spojrzymy na miejsce, jakie zajmują w społeczności pozakaademijskiej, na ich sytuację materialną, jeśli dojdą do tego jeszcze niewymierne w swoim znaczeniu, psychologiczne przesłanki własnej użyteczności i roli poza obrębem warsztatu pracy — wszystko to raczej nakazywałoby mówić o różnych grupach. Żeby nie być gołosłownym: inna jest pozycja asystenta Akademii Medycznej, inna asystenta — inżyniera Politechniki, inna zapewne pozycja asystenta Uniwersytetu, pracującego na którymś z wydziałów humanistycznych. I to zarówno w sensie materialnym i, że tak powiem, duchowym, psychicznym. Jeśli chodzi o materialne warunki, to na pewno asystenci akademii medycznych i politechnik, niezależnie od tego, że ich pensje równe są pensjom asystentów z uniwersytetów znajdują się o tyle w lepszej sytuacji, o ile lepiej jest w drugiej połowie XX wieku posiadać fachowe wykształcenie techniczne czy medyczne, aniżeli bliżej niedające się określić — jeśli idzie o praktyczną użyteczność — wykształcenie humanistyczne.

Ta ośca współczesności rzutuje, jak widzimy, nie

tylko na wybór kierunków studiów przez młodzież, ale także na określenie się wyspecjalizowanych grup początkujących pracowników naukowych. Fachowe wykształcenie techniczne czy medyczne daje większe poczucie własnej wartości i społecznej przydatności. To także między innymi decyduje o układzie wzajemnych stosunków między profesurą i asystentami. Czy istnieje antagonizm między młodą kadrą asystencką a profesurą? Na pytanie odpowiem pytaniem. Czy istnieje antagonizm między pokoleniami? Fakt pozostaje faktem. Czy to się komuś podoba czy nie, było tak, jest i będzie. Chodzi zaś o to, by nie było to ze szkoda dla rozwoju nauki i nauczania.

Ten naturalny styk dwóch postaw w pewnych środowiskach asystenckich, szczególnie na humanistycznych wydziałach uniwersyteckich, często prowadzi do konformizmu naukowego, który zarówno dla przyszłości nauki, jak i naukowego rozwoju samego asystenta jest we wszelkim miar szkodliwy. Jest jakimś paradoksem naszych czasów, że grupa, która z natury powinna być pełna niepokoju i poszukiwań twórczych, zajmuje postawę — w pewnych dziedzinach — jak najbardziej konserwatywną. Myślę, że jest to rezultat opacznie pojętego autorytetu samodzielnego pracownika naukowego. Niełatwo jest bowiem zerwać ze starymi nawykami mistrza i czeladnika.

Stosunki mistrza i czeladnika w małym zmienionej postaci pozostały w dyscyplinach naukowych, które, mimo unaukowienia swoich metod badawczych, pozostały po staroświeckim dziewiętnastowiecznym. — Są to przede wszystkim dyscypliny humanistyczne. Natomiast w dyscyplinach technicznych, które uległy — i ulegają — ciągłej rewolucyjnym przemianom — stosunki muszą ulegać się inaczej. Wkład pracy i myśli asystenta w wielu wypadkach jest niezbędny dla dalszych badań i eksperymentów. Dlatego też stosunki te coraz częściej nabierają cech nie tyle zależności czeladnika od mistrza, ile cech koleżeńkiej współpracy. Oczy-

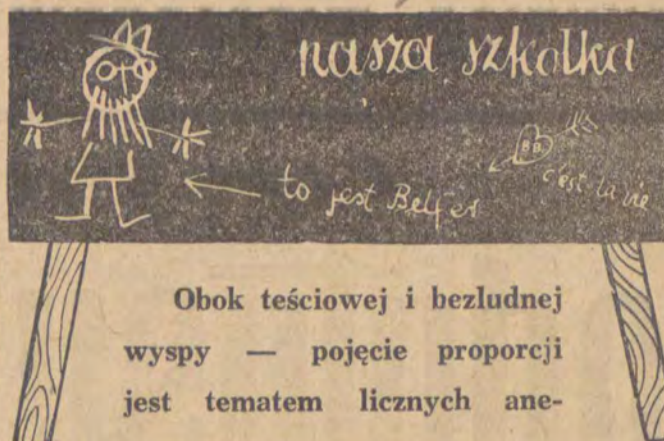
wiście, że nie jest tak wszędzie, ale zarysowuje się jakaś tendencja, jakiś kierunek zmian. Zaś w humanistyce obserwuje się ustawiczną dążność do petryfikacji istniejących stosunków.

Czemu mówię aż tyle o stosunkach między samodzielną kadrą a asystentami? Wydaje mi się bowiem, że jeden typ tych stosunków kształtuje postawę otwartą, postawę godną naszych czasów. To postawa samodzielnego poszukiwacza i odkrywcy. — Drugi zaś typ — postawę zamkniętą, postawę naśladowcy i konformisty. Ten drugi może wydać wielu pracowników w swojej dyscyplinie, nie wyda rewolucyjnej. Tak, jak mi się wydaje, jest z asystentami na wydziałach humanistycznych.

Myślę, że błędnego koła, w jakim znalazła się sprawa asystentów — humanistów, nie rozwiąże choćby i najlepsza z najlepszych ustaw, jaką może wydać Minister Szkolnictwa Wyższego. Tak długo, jak długo asystent zmuszony będzie do szukania dodatkowych źródeł zarobków, sprawa nie o wiele posunie się naprzód. Obserwuję bowiem zjawisko, które nie jest chyba pomyślnym horoskopem dla rozwoju życia naukowego w naszym kraju, mianowicie zjawisko braku zapachu wśród młodzieży studenckiej do asystentury. Młodzież ma inne ideały. Nie imponuje jej życiowy abnegat, który gotów jest zrezygnować z radości życia dla wątpliwej sławy naukowej. Jej marzenia są bardziej przyziemne. Jeśli ktoś nie wierzy moim spostrzeżeniom, uważnie proszę przeczytać artykuły młodych socjologów warszawskich z ubiegłorocznej „Nowej Kultury” i „Przeglądu Kulturalnego” o postawach młodzieży studenckiej.

Są to niewątpliwie sprawy w środowisku asystentów znane, ale obawiam się, że praca i znaczenie roli asystenta nie zawsze jest dostatecznie doceniana.

Nie uważałem, i nie uważam, że nie należy o tych sprawach publicznie mówić i pisać. Skończmy wreszcie z panieńskim krygowaniem się. Sprawy są, moim zdaniem, na tyle ważne, że mówić o nich trzeba pełnym głosem, bez tłumika.



Obok teściowej i bezludnej wyspy — pojęcie proporcji jest tematem licznych ane-

gdot, jakie sobie i bliżnim opowiadamy. Takiś o żonie, która poszła do sklepu kupić mężowi imieninowy prezent i przyniosła sobie futro, a jemu grzebień. Anegdota tego typu bawia, a i to umiarkowanie, ludzi z wyobraźnią.

Zaprawieni w tym gatunku humoru czytelnicy zapewne uśmiechnęli się pod wąsem (pod pomadką) przeczytawszy, że budżet kulturalny miasta Łodzi wynosi 23 miliony złotych, z czego 22 miliony i sześćset tysięcy z groszami przeznaczone jest na utrzymanie stałych instytucji kulturalnych, a 304 tysiące „na resztę”. Jeden koń, jeden zajac. Z tym, że w tym pasztecie koń naprawdę jest ważniejszy.

Przeżywalimy okres poglądów, które umasowienie kultury wybierały sobie jako uczynienie z mas bezpośrednich twórców. Mnożyły się na siłę „przyzakładowe” balety, chóry i teatry, holubione poetów — robotników i płodzonych (zjawisko to pokrewne) setki tysięcy korespondentów robotniczo-chłopskich. Oczywiście wszystko to niewiele miało wspólnego z produkcją artystyczną, ze sztuką, która od wielu już dziesiątków setek lat jest domeną zawodowców. Nie znaczy to oczywiście, by wszelkie amatorskie twórczości nie mogły mieć nie wspólnego z artystycznym. Po prostu amatorskie twórczości zjawisk z dziedziny kulturalnej zawsze były, jest i być może tylko marginalnym uzupełnieniem zawodowstwa. I wszystko co w tej dziedzinie uzyskuje jakąś rangę, lub choćby tylko sukcesy kasowe naley miały zawodowstwem się stać. Zjawisko powyższe ma swoje historyczne przyczyny, jest przez teorię sztuki uzasadnione, zaś stanowi prawdę na tyle historyczną, iż zwalniając Belfra od obowiązku uzasadniania owego twierdzenia.

Spółeczeństwo kulturalne, społeczeństwo, w którym odbiór dzieł sztuki jest jedną z podstawowych ludzkich potrzeb — to nie społeczeństwo

masowo wywołujące holubce w amatorskich baletach, śpiewających w chórach pieśni masowe i piszące tony poematów. To społeczeństwo odbierające produkcję zawodowców z prawdziwego zdarzenia, reprezentujące własny, a do tego niezły smak, zdolne do prawidłowej elekcji.

Amatorskie teatry, chóry, balety, kluby wąskiej taśmy i liczna rzesza grafomanów o tyle jest zjawiskiem pożytecznym, o ile zbliża ludzi uprawiających takie rozrywki do odbioru sztuki prawdziwej. Tak zaś dzieje się nie zawsze, ale zazwyczaj. Wierszokłeta produkujący na użytek rodziny i udreczonych redaktorów, nolens volens czytuje poezję, wąskotąśmowiec chodzi do kina, aktor z amatorskiego teatru łatwiej i chętniej konsumuje spektakl teatru prawdziwego. Nie jest to droga tak zupełnie bezpośrednia i udział w ruchu amatorskim tyle może smak poprawiać co i pać, ale to już kwestia jakości samego ruchu amatorskiego.

Jest wszakże inna, nie mniej, ale chyba bardziej skuteczna forma zbliżenia ludzi do odbioru sztuki, wykształcająca taki właśnie wyrok i potrzebę. Nazyw ją umownie „ludowym mecenate”. Mam zaś na myśli różnego rodzaju „towarzystwa miłośników” poszczególnych gałęzi sztuki, mam na myśli fabryczne, dzielnicowe i inne kluby zbiorowej konsumpcji sztuki, kółka dyskusyjne, spo-



łeczne patronały nad instytucjami zawodowymi, kluby czytelnice zamawiające określone produkcje literackie, filmowe i teatralne systemem subskrypcyjnym, mam na myśli mecenat nad poszczególnymi, upatrzonymi sobie twórcami przez organizacje, urzędy, stowarzyszenia itp. kulturalno-społeczne, stypendjowanie ich, urządzanie np. przyfabrycznych saloniów plastycznych itd.

Wydaje mi się, że to właśnie (nie miejsce tu niestety

na dokładniejsze precyzowanie nie proponuję) stanowiłoby efektywną formę zbliżania ludzi z odbiorem prawdziwej sztuki, z drugiej zaś strony pozwoliłoby na stworzenie swoistej „ludowej presji” na twórców i kształt ich twórczości, co jak wiadomo, od czasu zlikwidowania s. p. administracji kulturalnej wydaje się być trudnością rzędu rozwiązywania kwadratury koła.

Oczywiście nie jest to sprawa prosta ani doraźna. M. in. dlatego, że stypendium mas robotniczo-chłopskich mogłoby zostać przeznaczone, zgodnie z wolą fundatorów na wieńce na grobach Kraskiewskiego i Mniszkówny.

Zaś na marginesie sprawy proporcji w łódzkim budżecie kulturalnym warto rzec tylko: brawo! Trzeba dobrze karmić konia, żeby nie zmarniał, nie dał zdechnąć (to postulat) zajacowi, ale i wygospodarować coś niecoś na farsz ze słoniny do owego pasztecika w postaci ludowego mecenatu, który co prawda winien być ludowy i w sensie opłacany przez ludzi, ale przede wszystkim narodzin zastrzyku państwowej farsy by wymagał. Skąd ją brać? Między innymi i z budżetu kulturalnego związków zawodowych i innych temu podobnych organizacji, które uparcie finansują zespoły amatorskie, w tym i niedobre i istniejące tylko na papierze i takie które istnieją, ale nie wiadomo po co.

BELFER



P.S. A propos sztuki i a propos po co? Panowie Kozłowicz i Bielecki w „Dzienniku Łódzkim” uraczyli szeroką publiczność dyskusją na temat „Chłaki Puchatków”, a to z okazji święta, którym jest zakończenie tej tygodniowej diaganecji się dyskusji w całej prasie polskiej. Reprezentują oni dwa odmienne stanowiska, które przed nimi reprezentowało już coś po setce zawodowców z obozu pro i contra. Spółka polemistów dokonuje nie lada sztuki, by puchatkowej imprezie nadać pryncypialny sens ideologiczny, i stawia kapitalnej wagi pytanie: „Po co Puchatkowie wypłynęli?”

A więc po co? Jak to po co? Po to, żeby panowie Kozłowicz i Bielecki mieli o czym pisać!

B.

jeden koń, jeden zajac

JACEK LEBEN

BŁĄD MIKOJANA

„Jeżeli misja Mikojana polegała na „odmrożeniu” atmosfery między USA i ZSRR — odniósł on sukces” (COMBAT).

„Chcieliśmy się dowiedzieć co ten Mikojan ma w sobie, że Amerykanie jedzą mu z ręki” (DAILY SKETCH).

„Główną jego bronią stanowi uśmiech i szczerość” (FRANCE PRESSE).

„Jest rzeczą podziwu godną, że cała kapitalistyczna A-

str. 2 **odgłosu**

meruka ustawia się w ogonku by uściskać dłoń Mikojana” (NEW YORK TIMES).

„Wykonał on dobrą robotę dla swego rządu” (YORKS-HIRE POST).

„Chcąc pozyskać Amerykanów trzeba mieć zmysł humoru i grać w otwarte karty. Mikojan opanował — jak się wydaje — w całej pełni te dwie podstawowe zasady popularności” (NOWOJORSKI KORESPONDENT AFF).

„Mikojan jest zrecznym.” (IL GIORNO).

„Mistrzostwo taktyczne Mikojana...” (SUEDEDEUTSCHE ZEITUNG).

Wystarczy chyba cytować. Ten bukiet opinii, pochodzących przecież z najbardziej różnorodnych źródeł prasowych zachodniego świata, może nawet najbardziej zadowolonego sceptyka przekonać o sukcesie Mikojana w USA.

Na wstępie pragnę zacząć od podkreślenia genialnej synchronizacji dwóch wydarzeń — wystrzelenia rakiet kosmicznych poza Kiełżycę z przybyciem Mikojana do Nowego Yorku.

Mikojan przeprowadził swoją wizytę w sposób niezgodo-

spotykany. Wyjechał za Atlantyk nie z oficjalną wizytą i nie na zaproszenie wiceprezydenta stanu Nixona czy sekretarza stanu Dulles. Pojechał jako gość ambasadora radzieckiego w USA Mienszykowa, na weekend. Ot, po prostu na dwutygodniowy urlop. Nie ulega jednak wątpliwości, że tego rodzaju formuła została ustalona w czasie wielotygodniowych rozmów dyplomatycznych między ZSRR a USA. Oficjalna wizyta mogła być prawdopodobnie niedogodna dla obu stron — dla rządu USA byłaby ona pośrednim przejściem na pozycję radzieckiej dyplomacji, która zawsze na plan pierwszy wysuwa kontakty między meżami stanu. Poza tym sojusznicy USA z nieufnością patrzą na każdą próbę dwustronnych kontaktów USA z ZSRR. Boją się utraty prestiżu, i porozumienia, które mogłoby nastąpić ich kosztem. USA musza się liczyć z tą niechęcią swych sojuszników. Jeżeli możliwe są rozmowy Waszyngton — Moskwa, to dlaczego nie Londyn — Moskwa, Paryż — Moskwa, czy Bonn — Moskwa? Mogłaby więc zostać uruchomiona machina wzajemnego „szantażu” w obozie zachodnim. Dla Związku Radzieckie-

go taka nieoficjalna wizyta może być korzystniejsza od oficjalnej, bowiem stwarza większe możliwości do szerokiego kontaktów ze społeczeństwem. Tak więc Mikojan wyładował w Nowym Jorku jako „turysta”. Ale od razu na lotnisku powitaly go wysokie osobistości z rządu Stanów Zjednoczonych, a niedługo po przyjeździe udał się do sekretarza stanu Dulles i odbył z nim półtoragodzinną rozmowę. Zaś kodeks dyplomatyczny przewiduje, że rozmowa kurtuazyjna trwać może do 20 minut.

Zachodni dziennikarze zauważyli, że Dulles po wyjściu z pokoju, w którym toczyła się rozmowa przez 2 minuty pozował uśmiechnięty fotoreporterom. Wiadomo, że Dulles cierpi na żołądek i w ogóle nie lubi się uśmiechać. Tym bardziej że nie bardzo przecież miluje swojego radzieckiego kolegę, z którym się fotografował. Dlaczego więc Dulles się uśmiechał?

Potem Mikojan odbył rozmowę z wiceprezydentem Nixonem i udał się w podróż po Stanach. Brał udział w rozlicznych bankietach, odbywał konferencje prasowe, ścisłał dłonie przemysłowców, bankierów, dziennikarzy i

gwiazd filmowych. Uśmiechał się i nie uśmiechał się. Każde jego słowo było podchwytywane przez prasę, przez rozgłoszone radiowe i stacje telewizyjne USA. Była to niewątpliwie wielka podróż propagandowa, podróż za zgodą rządu USA. Dlaczego więc rząd USA do niej dopuścił? Rząd brytyjski przecież nie pozwolił nadać takiego charakteru wizycie Bułganina i Chruszczowa w Wielkiej Brytanii. Odpowiedź nie jest łatwa, ale wydaje się, że rządowi amerykańskiemu równie zależało na uczynieniu próby, a być może jedynie gestu, wskazującego na chęć wyjścia z impasu.

Mikojan 10 godzin rozmawiał z sekretarzem stanu Dullesem, 3 godziny z Nixonem, 2 godziny z Eisenhowerem, wiele godzin z przywódcami partii demokratycznej i republikańskiej, gubernatorami. Nie znamy kulisów tych rozmów. Można jedynie stwierdzić, że ta nieoficjalna konferencja na najwyższym szczeblu, między rządami USA i ZSRR była ze strony rządu USA przyznaniem ZSRR równego partnerstwa, była prawdopodobnie przedświadczeniem do konferencji ministrów spraw zagranicznych, a być może

nawet konferencji na najwyższym szczeblu.

Sceptyk powie, no cóż, ale wyników przecież nie ma żadnych, nie doszło do konkretnego porozumienia w sprawie żadnego z kluczowych problemów tego świata. I w tym wypadku sceptyk będzie miał rację, ale będzie to racja niepełna. Ze tylko uśmiech? Tak, właśnie. Uśmiech waża, uśmiech to klimat, którego gruncie wyrasta radziecko-amerykański dialog. A ten dialog po tylu latach zimnej wojny to wielka rzecz, rzecz, która napawa nadzieją.

Ale autorowi wypada już wrócić do tytułu, a tytuł brzmi „Błąd Mikojana”. Jakież to błąd, który nie znajduje pokrycia w artykule? Otóż wśród amerykańskich dziennikarzy krąży dowcip, że Mikojan popełnił w czasie wizyty w USA jeden błąd: kiedy był w Hollywood i witał się z Sophią Loren i znanym aktorem Jerry Lewisem, to ucałował się z tym ostatnim. Muszę stwierdzić, że ja bym takiego błędu nie popełnił. Ale wydaje się, że wicepremierowi Mikojanowi można go wybaczyć.

MOTTO: „Pan Bóg stworzywszy świat w ciągu sześciu dni, siódmego odpoczął, a radując się dziełem swoim tańczył...”

Tekst: Zbigniew Wojciechowski

Zdjęcia: Wacław Biliński



Kiedy już wiemy, od czego się to wszystko zaczęło, nie powinniśmy się dziwić, że pierwszą książką opisującą taniec było dzieło kanonika Jana Tabourota występującego pod pseudonimem Thoinot Arbesu napisane w roku 1558.

Przewielebny ksiądz, propagujący ideę tańca, musiał rzecz jasna, powołać się na najwyższy autorytet. Toteż nie dziwnego, że w pierwszych rozdziałach swej książki pisze (cytuje) „Pan nasz (w rozdziale 11-ym Św. Mateusza i 7-ym Św. Łukasza) strofował Filistynów za ich upór i zły humor, mówiąc: graliśmy wam, a wyście nie tańczyli”.

I w tamtych czasach ludzie nie chcieli tańczyć tak, jak im grano. Ale o tym nasz kanonik nie pisze. Natomiast obszernie omawia on zasady tańca i dobrego zachowania tancerza.

Czytelniku!!! Wytnij i zachowaj nas Panie!!!

— „Taniec ma na celu dowiedzenie się, czy kochankowie nie szwankują na zdrowiu, czy nie są kalekami”.

— „Kiedy wyuczyłeś się poruszeń, nie patrz na własne nogi, aby widzieć czy dobrze tańczysz. Ręce powinny być opuszczone swobodnie, aby nie wydawało się patrzącemu, iż są sparaliżowane, nie gestykuluj gwałtownie. Trzymaj się prosto, a na twarzy niech będzie można wyczytać pewnością siebie”.

— „Możesz tańczyć z dwiema — partnerkami, choć jedna powinna ci wystarczyć. Po skończonym tańcu wolno pocałować swoją panią, aby przekonać się, czy nie ma w ustach nie milej woni, i czy ciało pani, z którą kawaler tańczył, nie ma zapachu zepsutego mięsa. Tancerz nie powinien często pluć i wycierać nosa, a jeżeli to czyni, powinien odwrócić się i baczyć by chustka była czysta”.

Tak pisał wielbny kanonik w roku pańskim 1558. Świat się jednak łatwo nie zmienia.

* * *

Jaś nie był Apollem. Nie miał męskiej sylwetki Ralfa Vallone, wdzięku Gerarda Philipa, ani intelektu Konrada Tymoteusza, Jerzego Zofii Augustyńskiego. Nie miał, niestety, własnego Wartburga, ba, nawet własnym pokojem nie dysponował. Ale pomimo tych wszystkich usterek Jasio był bez wątpienia mężczyzną... i nie nie wskazywało na to, aby się miał pod tym względem zmienić.

Los był długo dla Jasia nielościwy. Na drodze życia nie stanęła żadna z wymarzonych dziewcząt. Samotny i opuszczony mizeriał na oczach całego społeczeństwa.

I matura (ukończone liceum budowlane) i nawet chęć szczerą nie zmieniła kawalera.

Aż w blaskach jesiennego słońca ujrzał. Ujrzał i przejrzał na wyłot. Lepszy rydz...

Nie lubiła rydzów, za to lubiła tańczyć, a Jaś tańczyć nie umiał!

I kielkująca miłość zmarłaaby w pierwszych zimowych przymrozkach, gdyby nie ona.

W noc pełną uniesień rzekła: (cytuje) CZEGO SIĘ JAŚ NIE NAUCZY, TEGO JAŚ NIE BĘDZIE UMIAŁ”.

I w ten oto sposób zapisał się Jaś do szkoły pana Cyrulskiego (Łódź, Kilińskiego 34, w podwórzu, na prawo).

Na naukę nigdy nie za późno.

Walc. (proszę sobie zanucić). Pan Cyrulski pokazuje pierwsze pas. Raz, dwa, trzy... Raz, dwa, trzy... Najpierw zaprawa sucha, to znaczy bez muzyki, potem z melodią. Czar walca ośzałamia. Niestety, tylko tych, którzy umieją go tańczyć. Jaś, aczkolwiek z trudem, pokonuje pierwsze trudności. Do całkowitego ośzolenienia jeszcze daleko. Na razie płaczą się tylko nogi. W chwilach wypoczynku wkuwa wiadomości teoretyczne. „Kiedy znalazłeś się w miejscu gdzie towarzystwo jest zebrane do tańca, wybierz tancerkę, która ci się podoba. Zbliżywszy się do niej zdejm narkrycie głowy i podaj jej prawą rękę, by w ten sposób poprowadzić ją do tańca”.

W tańcu jak w życiu, teoria nie zawsze zgadza się z praktyką. Większość ważnych figur to improwizacja. Ale żeby móc improwizować trzeba zdobyć podstawy. Jaś nigdy nie był zadowolony. Pocięta go fakt, że takich jak on uczy się tu więcej. W większości są to mężczyźni. Oni zawsze mieli kłopoty z krokiem. Pan Cyrulski jest jednak cierpliwy. Raz! dwa! trzy!... Raz! dwa! trzy!... Raz! dwa! trzy!... Już jest lepiej. Pot rosi czoło. Jaś pracuje nad każdym pas. Boi się, aby nie zrobić jakiegos faux pas. Na razie dobra passa trwa.

Co dzień umiłowana sprawdza osobiście postępy ucznia. Przedwczoją powiedziała: „Coraz lepiej”.

Mijały tygodnie.

„Całkiem dobrze” — powiedziała ukochana. „Nieźle” — osądził pan Cyrulski. W swoim podręcznym pamiętniku Jaś zapisał sobie: „Terpsyhora jest dla mnie coraz łaskawsza. Zwalnie w rock and rollu”.

Potem notatki są coraz częstsze.

Środa — choć burza huczy wokoło nas nam nie straszne zadne pas.

Piątek — stały postęp się zaznacza w miłym tańcu zwanym cha-cha.

Niedziela — dziś tańczyłem boogie-woogie w rytm kantaty tudzież fugi...

Poniedziałek: — Graj mi Cyganie

Lecz Jaś nie doczekał... się zakończenia kursu. W pierwszą niedzielę karnawału postanowił wystąpić publicznie. O 17-tej zero zero umówił się ze swą umiłowaną na ostatnią korepetycję. Utwierdziwszy się, że uczeń prześcignął korepetytora o godzinie 22.00 taksówką nr 739 pojechał z ukochaną na swój pierwszy bal.

NAUCZ MNIE TAŃCZYĆ...

odgłosy str. 3



Opinie w sprawie współczesnej strategii i techniki wojennej

TEORIA „NASYCENIA ATOMOWEGO”

Z dotychczas publikowanych „Opini” Czytelnik, który je systematycznie czytał, mógł zapewne wyrobić sobie pogląd o współczesnej technice wojennej i doktrynach militarnych. Nie będziemy próbowali podsumowywać — życie idzie szybko naprzód i takie podsumowanie może być już tylko notatką historyka. Niewątpliwie jednak pozostały jakieś wnioski ogólne, których dalszy, burzliwy postęp techniki nie tylko nie zaprzeczy, ale na pewno potwierdzi. Oto te wnioski:

1. Nowoczesna technika na wypadek wojny kładzie między kontynenty tak szczerłą barierę, że przeniesienie wojny lądowej z kontynentu na kontynent staje się zadaniem niewykonalnym.

2. Na poszczególnych kontynentach szybko zwycięża mocarstwa dysponujące na tym obszarze wyższą techniką i korzystniejszymi współczynnikami geograficznymi i ludnościowymi. W tej fazie, podzieliwszy świat między dwa mocarstwa, wojna zastygła.

3. Zmasowane ataki atomowe, nawet jeśli spowodują zniszczenie ogromnej większości terytorium obu mocarstw, nie będą w stanie zniszczyć całkowicie ich zdolności do dalszego prowadzenia wojny atomowej i utrzymania stanu posiadania.

TAK WIĘC WOJNA ATOMOWA NIE MOŻE BYĆ ROZSTRZYGNIĘTA! Te opinie dzielą już dziś nie tylko tak wybitni mężowie stanu jak premier Indii Nehru, ale także większość dyplomatów zachodnich, nie wyłączając USA i czołowych wojskowych paktu atlantyckiego.

Zwłaszcza szczególnie znamienne są wypowiedzi generała Gruenthera, jednego z kolejnych głównodowodzących wojskami paktu atlantyckiego i Gordona Deana, byłego przewodniczącego Komisji Energii Atomowej USA. Gen. Gruenther powiedział: „W trzeciej wojnie światowej nie może być i nie będzie zwycięzcy”. Gordon Dean poszedł jeszcze dalej: „Wojny i groźby wojny stały się składową częścią życia człowieka w ciągu całej jego historii. Wielu już próbowało, ale nikomu dotąd nie udało się rozwiązać problemu wojny. W wieku atomowym wszedł jednak na scenę zupełnie nowy czynnik, którego nie możemy pominąć w naszym rachunku. Dawniej zagadnienie polegało na prostym

wyborze między wojną a pokojem, dziś zaś musimy wybrać między całkowitą zagładą a pokojem. Przy takim postawieniu zagadnienia trudno sobie wyobrazić inną alternatywę niż pokój”.

Obaj wyżej cytowani są osobistościami przede wszystkim politycznymi i należą do czołówek decydującej — przynajmniej formalnie — o losach świata. A oto opinia amerykańskiego fizyka Comptona, uważanego za ojca bomby wodorowej: „Wojna, w której zostaną użyte bomby wodorowe, będzie tak niszczycielska, że nawet państwo zwycięskie przedstawić będzie obraz krwa-

wego chaosu i prawdopodobnie znajdzie się w daleko gorszym położeniu, niż gdyby od razu zgodziło się na pokój na warunkach równoznacznych z bezwzględną kapitulacją”.

Nie ma już żadnej wątpliwości, że monstrualna potęga i obosieczność broni atomowej, rozumiana jest nie tylko przez szarych ludzi nie mających wpływu na tak zwaną „wielką politykę”, ale również przez tych, którzy tę politykę robią. „Jakaśkolwiek agresja w cieniu bomby atomowej jest czystym szaleństwem” — powiedział prezydent Eisenhower.

W świecie jednak nie dość dojrzała jeszcze decyzja gwarantująca powszechny pokój — decyzja rozbrojenia. Nagromadzona od lat nieufność i znaczne trudności techniczne, jakie po- ciąga za sobą postulat międzynarodowej kontroli rozbrojenia, powodują, że największe mocarstwa, a zwłaszcza Stany Zjednoczone, którym trudno pogodzić się z faktem, że od kilku lat utraciły bezpowrotnie swą rolę „języka u wagi historii” — kontynuują wysiłki zbrojeń. Ten wysiłek ma wszakże również swój kres — i to wcale nie jako wybuch wojny światowej. Panują w tej sprawie różne

opinie, ale można je sprognozować do wspólnego mianownika — teorii obrony przez odstraszanie i w związku z nią teorii „nasyce- nia atomowego”. Najlepiej tendencję tę określił Churchill i według niego stan „nasycecia atomowego” to punkt krytyczny, który oznacza, że jedno państwo jest wprawdzie silniejsze od drugiego — być może znacz- nie silniejsze — ale obydwa mają dość siły, by zadać sobie śmiertelne ciosy za pomocą tych środków, którymi już rozporządzają.

Fachowcy od spraw atomowych różnie umiejscawiają w czasie ów „punkt kry- tyczny” — jedni w 1959 r.,

inni 2—3 lata dalej. Wszyscy wszakże są zgodni, że od tego momentu zaczną coraz szybciej spadać sumy prze- znaczone na zbrojenia i na- stąpi zupełnie widoczna po- prawa w stosunkach mię- dzynarodowych. Czyż ubie- gające konferencje w sprawie rozbrojenia, zapo- biegania nagłym atakom i zaprzestania prób z bronią nuklearną, nie są oznakami rychłego spełnienia się tych zapowiedzi?

Opracował F. G.
(dokończenie za tydzień)

*) Angelopoulos, Will the atom unite the world?

EDWARD CASTEL

INTERWENCJA W SUEZIE (5)

Generał Stockwell zgadza się na operację „Teleskop”. To dzieje się na Cyprze, gdzie mieści się dowództwo korpusu ekspedycyjnego. Równocześnie w Londynie na Downing Street, Pineau i generał Challe, usiłując uzyskać zgodę rządu brytyjskiego na operację „Omlet”.

O godzinie 4 rano na lotnisku w Akrotiri na Cyprze ląduje Canberra. Z samolotu wysiadają minister obrony Wielkiej Brytanii Anthony Head oraz szef sztabu imperialnego generał Templer. Wystartowali z Londynu o północy, bezpośrednio po konferencji z generałem Challe. Rząd brytyjski wreszcie się zdecydował. Zrozumiał, że z Waszyngtonu nie otrzyma żadnej pomocy.

Prezydent Eisenhower odbywa kampanię wyborczą pod hasłem pokoju. Awantura anglo-francuska zagraża pokojowi. „Nie pozwolimy — oświadcza Eisenhower — na wojnę na Środkowym Wschodzie. Zrobimy wszystko, aby zatrzymać rozwój konfliktu”.

Dulles przebywa w szpitalu. Jest chory na raka i czeka go operacja.

— Mamy najwyżej kilka

godzin na rozpoczęcie działań — mówi Anthony Head w poczekalni lotniska, zamienionej na tymczasową salę konferencyjną.

Admirał Barjot wyjaśnia, na czym ma polegać operacja „Teleskop”. Brytyjski minister obrony wyraża zgodę.

Ale w Paryżu Bourges-Maunoury, minister obrony Francji, w dalszym ciągu obstaje przy operacji „Omlet” i telegrafuje do Episkopi: „Wykonać Omlet”. Generał Stockwell wydał już szczegółowe rozkazy do operacji „Teleskop”. W ostatniej chwili Francuzi uzyskują zgodę na wykonanie rzutu również na Port Fouad. Ostatnie przygotowania. Samoloty mające przewieźć skoczków grzeją silniki.

O godzinie 10 wieczorem dowództwo otrzymuje telegram od Edena: „Wstrzymać się 24 godziny”.

Co się stało?

Wieczorem jedna z agencji prasowych doniosła, że delegat Izraela w ONZ przyjął zawieszenie broni, przyjęte poprzednio przez Egipt. W tych warunkach nie było już walczących stron, a więc i pretekstu do interwencji.

Następuje szereg błyskawicznych rozmów telefonicznych między Paryżem a Tel-Aviv. Okazuje się, że Izrael nie przyjął zawieszenia broni.

O godzinie 2 rano, 5 listopada Eden odwołuje rozkaz wstrzymujący operację.

O godzinie 7.40 rano artyleria przeciwlotnicza w Port Saidzie otwiera ogień do transportowców angielskich i francuskich — desant rozpoczął się.

2 Pułk Spadochronowy, dowodzony przez pułkownika Chateau-Jobert, otrzymał zadanie opanowania mostów na południe od Port Saidu, otwierających drogę do Suez. Połowa pułku ma skakać o świcie, reszta — po południu. Rejon skoku to wąski skrawek piasku między jeziorem Manzaleh i kanałem. Jeśli będzie wiatr, skok musi się skończyć lądowaniem w wodzie i utonięciem.

— Będziemy skakali z pułapu 150 metrów, przy szybkości 200 kilometrów na godzinę — mówi pułkownik swoim żołnierzom.

Pułap bezpieczny skoku wynosi 180 metrów. Skaczą ze 150 metrów, żeby uniknąć zniesienia przez wiatr.

W pierwszym rzucie idą zasobniki ze sprzętem. Egipska artyleria przeciwlotnicza otwiera gwałtowny ogień. Pociski trafiają zasobniki, spadochrony.

Na dół lecą bomby. Mosty spowija zasłona dymna. Samoloty zawracają do drugiego podejścia. Podwójne drzwi w tyle kadłubów otwierają się i spadochroniarze skaczą, po dwóch, co sekundę.

bomby” głównie na Antwerpie, która była głównym portem zaopatrzenia dla inwazji. Pomimo wzmocnionej obrony straty w Antwerpii były nieco większe niż w Londynie, co tłumaczy się krótszym dystansem lotu bomb — a więc większą celnością i szybkością. Na Londyn w tym czasie skierowano rakietę V 2 — ale o tym już przy następnej okazji.

Jeszcze jedna uwaga. Bomby V 1 nie były, jak to się powszechnie przypuszcza, kierowane radiem. Wyposażone były natomiast w żyroskopas sprzężony z „automatycznym pilotem”. Od chwili wystrzelenia wyrzutnia nie miała już żadnego kontaktu z bombą.



Ogromną większość bomb, bo aż 5.807 zestrzelono w locie lub zatrzymano na zaparach balonowych. Już w pierwszym tygodniu, pomimo zaskoczenia, udało się zestrzelić 33 proc. bomb.

Ziślanie V 1 miało głównie charakter psychologiczny (jak pisała prasa angielska: „Bezduśzny robot, którego można wprawdzie zniszczyć, ale nie można zabić”) i to obustronnie: podważało morale Anglików i równocześnie podtrzymywało chwytliwy już autorytet hitlerowców w Niemczech. Tym należy tłumaczyć energię, z jaką alianci atakowali wyrzutnie V 1 i organizowali sieć przechwytywania, często z narażeniem życia własnych lotników.

Od października 1944 r. Niemcy skierowali „latające



Zasłona dymna rzędnie. Artyleria przeciwlotnicza natężyła ogień, odzywają się karabiny maszynowe, moździerze, działka przeciwpancerne.

Oficer łączności, porucznik Marmont, przetrzuca gorączkowo zasobniki. Jest! Błyskawicznie instaluje aparat radiowy. Po chwili rozlega się z aparatu głos generała Gilles, który z powietrza, z samolotu dowodzenia krążącego z szybkością 400 kilometrów na godzinę kieruje akcją.

Równocześnie inne aparaty nawiązują łączność z lotnictwem wspierającym. Obrona mostów jest potężna: moździerze, czołgi, artyleria przeciwlotnicza. Samoloty nurkują, rakiety, ciężkie karabiny maszynowe otwierają ogień. Pod jego osłoną i kompania pułku naciera dalej na wschód, tuż się z kilku drewnianych domków na przedpolu, kompania zajmuje je, naciera dalej na wschód, na most dla pieszych. Potężny wybuch, most wylatuje w powietrze, wysadzony przez obrońców.

Nad mostami krążą nieustannie samoloty anglo-francuskie, prowadzą nieprzerwaną, morderczą ogień. Do natarcia idzie 2 kompania. Ale Egipcjanie bronią się dzielnie. 2 kompania zalega w ich ogniu. Na pomoc kompanii idzie 11. Choc — oddział komandosów do zadań specjalnych. Dostają się w ogień. Samoloty nurkują, wychodzą do góry, znów nurkują. Francuzi idą do szturmu, most pada. Saperzy badają filary mostu — Egipcjanie nie zdążyli założyć min, most jest bezpieczny.

Ukryci w terenie egipcscy.

strzelcy wyborowi prowadzą nadal ogień. Spadochroniarze oczyszczają teren, ustawiają moździerze, zakładają pola minowe, rozpoczynają wydobywanie z wody ciężkiego sprzętu, przykrytego czaszami spadochronów. Osłania ich przez cały czas lotnictwo, które zmusiło do milczenia większość egipskich stanowisk ogniowych. Wybuchają pożary — palą się dwa zbiorniki benzyny, zapalone pociskami samolotów.

— Czy potrzebujecie posiłków? — pyta generał Gilles ze swego krążącego nad terenem walki stanowiska dowodzenia. — Drugi rzut jest w drodze. Kieruję go na Port Fouad.

— Na szczęście nie mamy do czynienia z Niemcami — mówi do siebie pułkownik Lamy, pilot samolotu dowodzenia — już dawno by nas zestrzelili.

Ze swego powietrznego stanowiska dowodzenia jednooki generał Gilles widział, jak spadochroniarze francuscy zdobywają most. Jest o nich spokojny. Kieruje więc samolot nad lotnisko Gamil, żeby zobaczyć, jak sobie radzą Anglicy.

Spadochroniarze angielscy przyjęli zostali bardzo gorąco — ogniem ciężkich moździerzy, karabinów maszynowych, dział. Ponieśli ciężkie straty. Pod osłoną samolotów posuwają się jednak powoli naprzód i zbliżają się do przedmieść Port Saidu. Zajęli kilometry odcinek pasa startowego, zabarykadowanego jedynie beczkami z płaskiem, których usunięcie nie jest specjalnie trudne.

D. c. n.

V-1 latająca bomba

(Vergeltungswaffe Ein — Broń odwetowa jeden). Następnego dnia po wylądowaniu alianców w Normandii, hitlerowcy zdecydowali się zastosować zdawaną przygotowaną „broń odwetową” — V 1. Szczegółowe techniczne „latające bomby” są już dość powszechnie znane. Tu chcieliśmy tylko podać niektóre liczby obrazujące jej skuteczność.

Londyn ostrzeliwano V 1 przez 4 miesiące — od czerwca do października 1944 r. W tym

czasie wystrzelił Niemcy 8.324 bomby, z których zaledwie 2.517 osiągnęło cel, powodując śmierć ponad 5.600 ludzi (razem ze zmarłymi po ranieniu); około 17.000 ludzi odniosło rany. Wypadało to przeciętnie po 9 zabitych i rannych na jedną bombę celną po 2,5 na każdą bombę wystrzeloną. Tonaż wybuchowy (bomba V 1 zawierała 1.000-kilogramowy ładunek wybuchowy) łącznie wyniósł 8.300 ton, to znaczy w przybliżeniu prawie tyle, ile zrzuciły bombowce niemieckie na Anglię w czterech miesiącach 1940 r., zabijając i raniąc ponad 50.000 ludzi. W tym zestawieniu bomby V 1, wbrew panującej opinii były kilkakrotnie mniej skuteczne od zwykłych bombardowań lotniczych z zastosowaniem takich samych środ-

str. 4 **odgłosy**

SPRAWA

pana

T

CZYLI MOJ DEBIUT PRZED SĄDEM

(Dalszy ciąg ze str. 1)

chaniem płk. A., zwierzchnika oskarżonego. Nie słyszałem tego „inteligentnego” przemówienia — jak protekcyjnie je ocenił w mowie końcowej obrońca, mec. K., ale musiało istotnie być głęboke, skoro powoływały się na nie obie strony a nawet w ostatnim słowie oskarżony. Nie słyszałem także zeznań pięciu innych świadków, ponieważ, co notuję dla ścisłości a nie pretensji, wraz z kompletem świadków zostałem z sali wyproszony. Nie straciłem jednak tych paru godzin pod drzwiami. Wprost przeciwnie. Poczyniłem kilka cennych spostrzeżeń.

W pewnej chwili wyszedł „na papierosa” konwojujący oskarżonego oficer milicji i odezwał się w te mniej więcej słowa. „Też mają człowieka o co szarpać, o te głupie 5 tys., a ten niby pokrzywdzony to za jeden wieczór więcej w Malinowej przepię”. Z tej uwagi konwojenta domyśliłem się nieprzychylnego oskarżeniu postawy sali, i jak się potem okazało, domyśliłem się trafnie.

Świadek P., u którego akt przestępstwa został dokonany, zwierzał mi się: „Jaka przykreść, proszę pana, jaka przykreść, ale ja nic nie wiem, bo byłem kompletnie pijany”. Nie powiedział mi przy tym, że to on zaaranżował libację, w czasie której przestępstwo zostało dokonane. Nie mam żalu do pana P., bo powiedział to w końcu sądu.

Inny świadek, pan H. tłumaczył mi, że sądowni najlepiej odpowiadać krótko „tak” lub „nie”, a najlepiej to mówić, że nie się nie wie. Nie skorzystałem z dobrej rady pana H., a on sam na

nie wyszedł „na balona”, podważając złożone świadomie i podpisane własnoręcznie w śledztwie zeznania. Nie zdążyłem się zobaczyć po rozprawie z panem H., toteż z tego miejsca chcę mu rzec, że sądowni najlepiej mówić całą wiadomą prawdę.

Wywołany zostałem w końcu jako siódmy świadek i odpowiedziałem sędziom na pytanie: „Co świadczy w tej sprawie wiadomo?” Prokurator nie miał żadnych

pytań, zaś pytanie miał pan mecenas: jak to mogłem radzić — podłączenie magnetofonu w czasie, kiedy pan N. rozmawiał? Tedy mu wyjaśniłem, że o magnetofonie była mowa już po rozmowie. Od tej pory byłem na sali już jako widz i o procesie mogę mówić z całkiem czystym dziennikarskim sumieniem.

III

Mjr T. — że wyjawię już istotę rzeczy — oskarżony był o to, że wziął od pana N. łapówkę w wysokości 5 tys. zł, przy czym kwota ta była częścią większej żądanej sumy w zamian za obietnicę załatwienia kłopotów podatkowych pana N. i wyłączenie jego nazwiska ze sprawy karnej pana O. (Co prawda pan N. nie miał nie wspólnego ze sprawą karną pana O., niemniej major T. przedstawił mu ją w ten sposób, iż pan N. może być w każdej chwili — nawet na sali sądowej — aresztowany). Tedy przestraszony pan N. wręczył 5 tys. zł majorowi T. Stało się to w mieszkaniu pana P. w czasie libacji na której to libacji obecni byli również kpt. Z. i panna B. i na którą to libację pan domu, czyli pan P., zawezwał telefonicznie pana N., pragnąc mu w ten sposób okazać pomoc. Nadto major T. oskarżony był o to, że wziął łapówkę od p. O. w kwocie 27 tys. zł, wręczoną mu przez panią O. małżonkę pana O., w czasie gdy ten przebywał w areszcie śledczym i za obietnicę pomocy w zlikwidowaniu przykrych spraw państwa O. Krótko mówiąc mjr T. oskarżony był z artykułu 38 małego KK, przewidującego sankcję za platny protekcyjizm.

IV

W przerwie pomiędzy przesłuchaniem świadków a przemówieniami stron myślałem sobie tak: Nikt nie był przy tym i nie widział, jak pan N. wręczał oskarżonemu majorowi T. łapówkę. Przestępstwa tego dokonuje się z istoty i wyłącznie „w cztery oczy”. W danym przypadku stwierdzić o najwyżej można szereg okoliczności towarzyszących przygotowaniu i dokonaniu przestępstwa, lecz są to tylko okoliczności towa-

rzyszące. Pan O. zaprzecza bliższej znajomości z oskarżonym, a także temu, że dał mu łapówkę. A zatem oskarżenie oprzeć może się o jeden główny dowód: zeznanie tego, który z takich czy innych powodów łapówkę wręczył i miał odwagę złożyć o tym doniesienie.

I oto mamy w gruncie rzeczy następującą sytuację: jest dwóch ludzi. Jeden, czyli pan N. twierdzi, że w kuchni mieszkania pana P. wręczył majorowi T. kwotę 5 tys. zł w zamian za obietnicę protekcyjnego załatwienia kłopotliwych spraw. Drugi, rzeczony major T., zamieszkujący aktualnie więzienie, twierdzi coś wprost przeciwnego, mianowicie że

nie tylko nie wziął żadnych pieniędzy, ale w ogóle o jakiegokolwiek protekcji nie było nigdy mowy.

Sąd musi jednemu z nich dać wiarę. Prawodawstwo nasze dopuszcza możliwość skazania człowieka na podstawie zeznań obciążających choćby jednego tylko świadka. W tej sprawie są zeznania obciążające innych świadków, lecz dotyczą one, jak już rzekłem, okoliczności wtórnych. Z drugiej strony w sądzie człowiek równa się człowiekowi. Dlatego wierzyć jednemu, a nie drugiemu i vice versa?

Jest taki powód. Przynajmniej w tym i temu podobnych procesach. Pan N. nie ma żadnego powodu, by bezpodstawnie oskarżać nie znanego sobie bliżej majora T. o przestępstwo. Zaś major T. ma aż nadto oczywiste powody, by istnieniu tego przestępstwa i spotkaniu w kuchni, w czasie którego zostało ono dokonane, zaprzeczać.

Ale coś tu, w najogólniejszym poczuciu sprawiedliwości niepokoi. Bo przecież w tym stanie rzeczy i ustaw każdy może mnie, ciebie, kogokolwiek oskarżyć o cokolwiek (np. mnie, że ten artykuł piszę za łapówkę!). I natchem postawił mnie (ciebie, kogokolwiek) w stan oskarżenia, któremu ufać nadmiernie nie można, bo przecież mam (masz, ma) oczywiste powody, by istnieniu przestępstwa zaprzeczać.

Z drugiej jednak strony toż społeczne poczucie sprawiedliwości dyktuje, że łapownictwo trzeba karać. Ale są to sprawy kłopotliwe. W procesach o łapownictwo rzadko kiedy mamy więcej bezpośrednich dowodów niż zezna-

nie jednego świadka (mogą istnieć oczywiście, jak w tym przypadku, dowody pośrednie). Odstąpienie od zasady, dającej możliwość skazania na podstawie zeznań jednego choćby człowieka oznaczałoby praktycznie absolutną bezkarność łapowników.

Nie wydaje mi się, aby istniało tu idealne wyjście. I dlatego w każdej takiej sprawie całe ryzyko ponosi sąd, który ma tu moc „dawania”, albo „niedawania” wiary.

Sytuacja sądu w każdej łapówkarskiej sprawie nie jest godna pozazdroszczenia. O wiele łatwiejsze i wdzięczniejsze jest działanie prokuratora i obrońcy.

V

Tak też było i w tym konkretnym procesie. Emocjonująca walka między ławą prokuratora a obrońcą toczyła się (czego się po części domyślałem) przez cały czas przesłuchiwania świadków. Kulminacyjny zaś punkt osiągnęła w przemówieniach końcowych. Z tym, że większa agresywność wykazywał przez cały czas obrońca.

Linia obrońcy była, oczywiście, podważanie wiarygodności zeznań świadków, a głównie koronnego świadka oskarżenia, tzn. pana N. Obrońca uciekał się na przykład do takich chwytów, jak wniosek o zaprotokolowanie, iż świadek N. zeznaje przy pomocy szerszych wypowiedzi (mimo że wypowiedzi jego były jednoznaczne). Sąd oczywiście oddalił wniosek, wychodząc z założenia, iż ważna jest treść, a nie forma zeznań. W mowie końcowej obrońca w hipotetycznym trybie pomógł nawet pana N. o złożenie fałszywych zeznań. W ten sposób i ja, debiutujący świadek, popierający w co prawda pośredni tylko sposób oskarżenie, poczułem zarzut fałszywości moich zeznań. To znów notuję dla ścisłości a nie z pretensji, jako że do brym prawem adwokata jest zasiewać wszelkie wątpliwości. Dalej obrońca sugerując mitomańskie skłonności panu N. dokonał porównania jego sylwetki z oskarżonym. Mówił zaś tak: (podaje sens, a nie dosłowne wypowiedzi):

„Kto to jest pan N., co my właściwie o nim wiemy? Właściwie wiemy o nim tyle, że zasypywał nas potokiem słów. A kim jest zasiedający przez fatalną pomyłkę na ławie oskarżonych, pan major T.? Jest cenionym

i zasłużonym oficerem WP: (w tym miejscu przedstawił dłuższą jego biografię, i miedale, tudzież przypomniał pisane o nim opinie)”.
W tym stylu efektowna, w dodatku nainkrustowana cytataj z Lenina i Wyszyńskiego, a także prawniczymi przysłówkami filipińka obrońcy piorunująco podzialała na publiczność. Publiczność zaś nie od tego, żeby chwytac niuanse sztuki prowadzenia sporu. Publiczność nie wiedziała, że rzeczta koronnego świadka oskarżenia było przedstawiać nie siebie, nie swoją biografię, lecz co najwyżej ten fragment biografii, który się łączy ze znajomością i stosunkami z majorem T., że z punktu wi-

dzienia wiarygodności istotna jest immanentna zgodność zeznań świadka a także zgodność ich z istotą zeznań pozostających świadków, nawet jeżeli świadekowie ci w szczegółach się wykręcali. Te zgodność zaś wykazał prokurator. Uczynił to rzeczowo, co prawda z mniejszą niż adwokat swadą, lecz tak wyczerpująco i logicznie, że bez potrzeby repliki na mowę obrońcy.

W ostatnim słowie oskarżony potwierdził fragment charakterystyki, danej mu przez płk A.: fakt posiadania tzw. szerokich znajomości i podchwytując sugestie obrońcy wyjaśnił, iż zawarł je i wykorzystywał w dobrej sprawie, a mianowicie: zatrudniania zwalnianych z czynnej służby oficerów. Powiedział nawet tak: „Ja chodzę, ja deptałem, ja nie raz wymuszałem pozytywne załatwianie spraw kolegów”. Wypowiedź to symptomatyczna.

VI

Proces majora T. był drugim po sprawie adwokata Mikiny większym procesem łapówkarskim w Łodzi. Nieprzekładowo kojarzę oba te procesy. I tam i tu sympatie publiczności były zdecydowanie po stronie oskarżonych. (W pewnym momencie usłyszałem rzucony przez jedną panią pod moim adresem epitetki: „szpagatowa inteligencja”). Może po części dzięki talentom obrońców, ale na pewno i dlatego, że dawanie łapówki w systemie pojęciowym części naszego społeczeństwa nie jest uważane za przestępstwo godne potępienia moralnego (vide wypowiedź konwojenta). Mało tego: zasyłaszanych i tu i tam rozmów wśród publiczności dowie-

(Dokończenie na str. 9)

CZESŁAW ZAWADZKI

Gramy

więc

jestem

Czeska opera narodowa „Sprzedana naręczona” nie posiada wielkich, popisowych arii, których śpiewacy mogliby w pełni wykazać swój wokalny kunszt. Mimo ogromnej melodyjności muzyka tej opery nie ma dramatycznego nerwu. Cóż, brak ten jest nieobcy i tak popu-

larnej operze jak „Eugeniusz Oniegin”.

„Sprzedana naręczona” stoi gdzieś na pograniczu znakomitego wodewilu i opery buffo. Te cechy sprawiają, że wśród naszej publiczności nie znajduje dostatecznego uznania. Toteż godny pochwały jest fakt, że kierownictwo Łódzkiej Opery nie idzie po linii łatwizny w swojej polityce repertuarowej. I oto na tej drodze odnosi sukces bardzo zasłużony. Opera Smetany — jak się rzekło, pozbawiona du-

żych solowych popisów — jest dobrą szkołą pracy zespołowej. Śpiewy kilkugłosowe, chóry i tańce nieustannie przeplatają się wzajem, odsuwając solistów na plan dalszy.

Nigdy chyba jeszcze nie oglądałmy w operze łódzkiej przedstawienia na tak dobrym i wyrównanym po-



ziomie. Mamy więc wreszcie prawdziwą operę, która nie jest już Kopciuszkiem wśród swych sióstr w kraju. Obecna inscenizacja „Sprzedanej naręczonej” na pewno nie przynosi jej wstydu. Pamiętając kulawą początki Opery Łódzkiej i uznając jej obecny żywot tulać i bezdomny — wypada wysoko ocenić dokonany wysiłek artystyczny.

Naprawdę, trudno jest zganić w tym przedstawieniu. Odmierzmy więc pochwały. Zaczynając tradycyjnie — od solistów. Danuta Prus-

ka w roli tytułowej stworzyła miłą sceniczną i dobrą wokalnie postać zakochanej Marzenki. Jej partner Kopciuszek z trochę nonszalanckim uśmiechem już od początku zapowiadał happy end romantycznej historii. Jako śpiewak zaś zademonstrował ładny, o dość wysokim rejestrze tenor, którym operuje z dużą swobodą. Izabella Strzałkowska i Tadeusz Gawroński oraz Maria Narkiewicz i Ryszard Nowaliński w roli rodziców młodej pary stworzyli dobre kreacje zarówno pod wzglę-

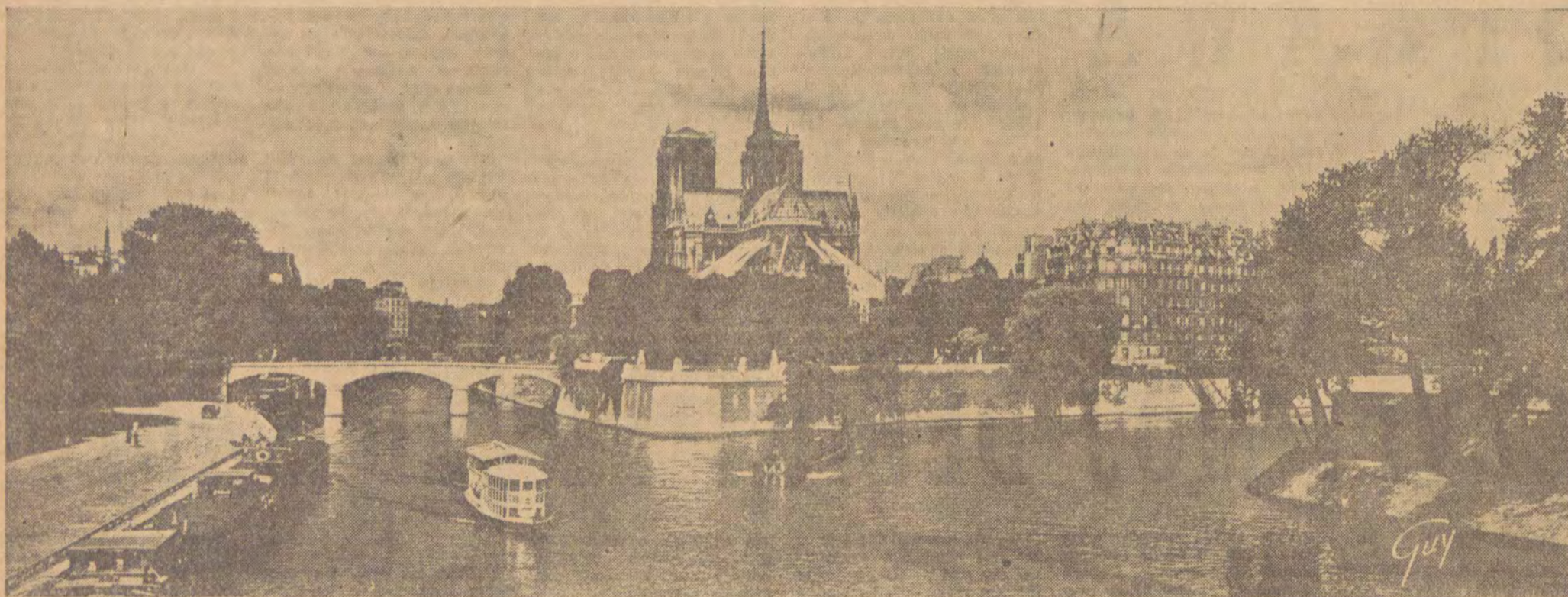
dem głosowym jak i aktorskim. Groteskową rolę pokracznego pretendenta do ręki Marzenki w sposób kapitalny zagrał Jan Wodzyński. Chór i orkiestra pod kierownictwem Mieczysława Wojciechowskiego brzmiały czysto, choć niektóre partie orkiestralne moim zdaniem winny być chyba utrzymane bardziej w planach. W śpiewie chóru zwraca uwagę dobra dykcja.

Wyrazy szczególnego uznania należą się Antoniemu Majakowi za doskonałą reżyserię. Majak potrafił nadać przedstawieniu znakomite, nie słabnący rytm. Akcja toczy się żywo i nie dostępuje się nawet jej zahamowań i dłużyzn, tak niestety częstych w operze. Pochwalmy jeszcze oprawę dekoracyjną Ewy Soboltowej i przyjemne w kolorystyce kostiumy. Zwiększenie kolorystycznych efektów świetlnych niewątpliwie jeszcze bardziej uatrakcyjniłoby ten malowniczy spektakl.

Poprzednio oglądałem w Operze Łódzkiej „Traviatę”.

Kiedy porównać balet z tamtych czasów z obecnym, widać drogę wiodącą od amatorskiego do prawdziwej sztuki. Za sprawą tego to baletu łódziani po raz pierwszy oglądali na scenie „Hula-hoop”. A rewia cyrkowa w wykonaniu zespołu baletowego jest na pewno gwoździem widowiska.

Powodzenie, z którego cieszymy się wszyscy, ma to jednak do siebie, że zobowiązuje Operę Łódzką. Po przedstawieniu na dobrym poziomie, staniemy się z pewnością bardziej wymagający w ocenie przyszłych pozycji repertuarowych. I z tym większym zainteresowaniem oczekiwac będziemy na dalsze osiągnięcia. A może to udane przedstawienie wpłynie dopingująco na tak zwane czynniki miarodajne, które pomyślnie zechcą o zakwaterowaniu gdzieś na stałe Łódzkiej Opery, której twórcy mogą powiedzieć o sobie, parafrazując Kartezjusza: „Gramy, więc jesteśmy”.



Po raz trzeci z pozoru taki sam jak i po raz pierwszy. Ta sama katedra Notre-Dame, ten sam Luwr, ten sam Łuk Triumfalny na Placu Gwiazdy, ta sama Wieża Eiffla, ten sam na wzgórzu po lewej stronie Sekwany ciemny Panteon, ta sama na innym wzgórzu po prawej stronie biała bazylika Sacre Coeur. Nic się niby nie zmieniło, a jednak Panteon wydaje się jakiś bardziej ciemny, Sacre Coeur mniej biała niż przed laty. Cóż u licha? To nie Paryż się zmienił, to ja się zmieniłem i moje na niego spojrzenie.

Stwierdzam nie bez melancholii, że w Paryżu człowiek prędzej się zmienia, niż samo miasto. Zmienia się i przemija, a miasto zostaje i trwa. W przeciwieństwie do naszego kraju, gdzie raczej człowiek trwa i zostaje, a wszystko woko-

ło ulega zmianie, przebudowuje się, przekształca, a niejedna forma i kształt, zarówno rzeczy, myśli, jak i obyczaju przemija i odchodzi na zawsze. To jest ta pierwsza uderzająca różnica, jaka się narzuca spontanicznie przyjeźdnemu z naszego kraju do Francji, między starym, zastygłym Paryżem a młodą, dynamiczną nawet w swoich zewnętrznych rysach urbanistycznie - architektonicznych, Warszawą.

Ale mimo swej statyczności Paryż za każdym razem jest inny. Nie tylko dlatego, że za każdym razem nasze widzenie Paryża jest inne, ale że i sam Paryż coś niecoś jednak się zmienia. Tak zewnętrznie, jak i zwłaszcza, że tak powiem, wewnętrznie. Zano- tujemy kolejno te zmiany.

Trzy razy byłem w Paryżu i za każdym razem zbliżałem się do niego od

innej strony. A pierwsze wrażenie przy każdym kolejnym zetknięciu się z tym miastem jest bardzo ważne. Rzuca jakby muzyczny nastrój na dalszy przebieg wrażeń i doznań. Kiedy przeszło ćwierć wieku temu, bo latem w roku 1935 przyjechałem po kilkutygodni-

MARIAN PIECHAŁ

PARYŻ po raz trzeci

wym pobycie we Włoszech na Gare de Lyon od strony południowo - wschodniej, Paryż wydał mi się po włoskich antycznych miastach supernowoczesnym. To nie, że na pierwszym placu Paryża, na jakim się znalazłem zaraz po wyjściu z dworca, na historycznym placu Bastylli (a któryż

plac w Paryżu nie jest historyczny?) ujrzałem cibrzy- mią kolumnę ze starożytną figurą Merkuriusza, któ- rych tysiące duplikatów i odmian oglądałem po całym Półwyspie Apenińskim i Sycylii — ale sam plac i otoczenie tego placu i uli- ce promieniście z niego wy-

biegające i tętniący ruch na nich, to wszystko nie już w sobie nie miało ze starożytności, to wszystko było nowe, współczesne. Po cudach Wenecji, Florencji, Rzymu, Neapolu, Messyny, Palermo, Genui i Turynu, pokrytych patyną wieków, Paryż ze swoją Wieżą Eiffla i z jej dopełnieniem

Dopiero później odnalazłem starożytne jądro tego arcy- nowoczesnego, jak mi się zdawało, miasta, kiedy w muzeum Cluny dotknąłem stóp murów starożytnych świątyni, a potem resz- tek cyrku antycznej Lute- cji.

Po raz drugi znalazłem się w Paryżu w 1937 r. W ciągu dwóch lat jakież mogły dokonać się zmiany? A jednak były. Przyjecha- łem bezpośrednio z Polski, trasą, wtedy najkrótszą, przez Berlin, Hanower, okregi górnicze Belgii, od północnego wschodu na Gare du Nord. Stąd pierw- sze widzenie Paryża po dwóch latach od strony wielkich bulwarów. Ruch i tętno oszałamiające. Zwłasz- cza, że był to okres wiel- kiej Wystawy Międzynaro- dowej na Polu Marsowym. Zmiany? Niby nieznaczne, ale jednak zasadnicze w pewnych partiach i dziel- nicach miasta. Np. znikła brzydka żelazna konstruk- cja Trocadera, a na jej miejscu powstał wspaniały, nowoczesny, chociaż w kla- sycznych liniach utrzymany, pałac Chaillot, stojący po dziś dzień; zburzono pod wystawę całą chaotyczną

dzielnice nadsekwana, prawie tuż od placu d'Alma, na którym stanął piękny pomnik Mickiewicza dłuta słynnego Bourdelle'a, aż prawie po most de Passy, aby dać miejsce pod nowe, pięknie rozplanowane na ta- rasowatym terenie skwery, place, nowoczesne pałace i domy mieszkalne. Zburze- niu uległ wtedy również ówczesny ponury i brzydki gmach naszej ambasady przy quai de Tokio, za co w zamian dostaliśmy dzisiej- szy gmach ambasady, wspaniały historyczny pałac Tal- leylanda w otoczeniu pięk- nych ogrodów. Mimo tych zmian Paryż po nowoży- tnych budowlach widzianych po drodze w Berlinie, Ha- nowerze, Kolonii, Liège, Namur nie wydawał się już tak bardzo nowoczesny. Wprost przeciwnie — jego staroświeckość zaczęła co- raz częściej rzucać się w oczy. Za dnia typy roż- naitego rodzaju wólczów i cłochardów, a wieczorami niezapomniany urok Pary- ża: uliczni śpiewacy przy świeczce na kij, wykonu- jący najnowsze przebiegi, u- nieśmiertelnieni w głośnym i u nas filmie René Claira „Pod dachami Paryża”.

A wreszcie po raz trzeci Paryż ujrzałem po 21 latach z lotu nadptaka (bo nad chmurami żadne ptaki, prócz żelaznych, nie latają) od strony Le Bourget, w złocistej poświacie popo- łudniowego jesienno- słoń- ca. Wydał się imponujący w rozległości i rozmiarze, ale jakiś płaski, stary, a nawet zgrzybiały. Czy to rzeczywiście Paryż się tak postarzał, czy tylko moje oczy, mój sposób widzenia? Bo przecież mnóstwo rze- czy jest nowych, mnóstwo zmian zaszło w Paryżu w

Stanisław Piętak

PRZED SNEM

Od łóżka ku oknu, oknu kołyszącemu zadumę w niebie rozpostartych kasztanów...

Od łóżka ku oknu skoczyło serce jak pęknięty oddech rozmienione w ciszę, i kiedy kasztany uniosły ku gwiazdom tę samą białą dziewczynę, odszepiała znowu krew na kruchej futrynie swoją radość i zagładę.

W okno wpłynął zielony księżyc, lecz i on niósł Naga strącającą ziemię ruchem nóg. Osiemnastoletni chłopiec, osiemnastoletni chłopiec... Ciało rzucone gorączką na ciemność, na wiatr, ścigało białą Marię rozpryskując się w stado krzyżujących Małajek, aż pociąg nadjechał wśród szumu kasztanów i głowę moją odciął żelaznym grzmotem kół.

SPOKÓJ — LATO

Wiatr chłodzi oczami gwiazd spienione nad wodą powietrze.

Od łąk rosnących szklany zmierzchem odchodził w zachód ulica pochylonych brzoź, wieczór w zapachu gasnących róż...

Kto pod błękitem płynie jeszcze? Para koni białych, pięć obłoków, gałąź zielona słowików i snu.

* * *

Śladem oczu szeleszczący ptak płynie — zmierzch. Jedyna, wciąż jestem ten sam. Jedyna, przestrzeni, szeptem wiatru wierz. Przebudzony szukam twoich rąk jak chleba — w okryciu żył białych i nieba.



NARODZINY

Jak świt ścieżkami miodu napojona trawa kołysze moją głowę — piekący tęsknoty stóg.

Wyciągnę tylko ręce, a zniechże kapie już mokry od snu, bocian z żabami klóci się cicho o wieczór...

Przypadłem polnej wierzbie do stóp, bom przyszłość, bom nieznana barwę nieba przeczuł.



(Dalszy ciąg ze str. II)

gniotek i „wiązanka” pew- na. Tutaj jest inaczej. Sie- działem sobie, na przykład, w autobusie na wprost jak-iegoś silnie zbudowanego faceta, o czerstwej twarzy. Samochód, po kilku pyrk- nięciach ruszył jak do wy- ścigów międzynarodowych. Rzuciło mną tak mocno, że nieprzepisowym ruchem gło- wy przygwoździłem pasażer- ra z przeciwną.

I jak pan myśli, oberwa- łem coś? Gdzie tam, facet usta otworzył i z jakimś skrzywionym uśmiechem wydawał z siebie coś nie- artykułowanego:

— Eeech, eeech, hi, hi, hihihih... — potem, nabraw- szy odrobinę powietrza za- częł: — Aaaaleś pan wywy- wycelował. Szczęście, że w klatkę, bo żółdek mam fe- lerny.

— Bardzo przepraszam — pelen skruchy zacząłem.

— Zostaw pan przeprosi- ny, widzę żeś pan nietutej- szy, Koza jestem...

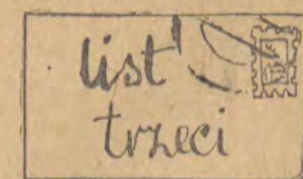
Ot, widzi pan, może nie-

udana forma zawierania znajomości, ale skutek o- szalałmający. Pan Koza, po ustąpieniu malej niedyspo- zycji przygnał do mnie i wy- wijał językiem aż do Burzenina. A pan Koza, pa- nie redaktorze, nie jest zwykłym Kozą. Och, pan Koza ma posadę w powie- cie i w sprawach wsi jest — jak się wyraził — alfa i omega.

— To tylko w mieście nas nie szanują. Tak jakbyśmy nie nie robili dla ten naszej ludowej ojczyzny, a my, pa- nie budujemy szkoły, remi- zy strażackie, wiejskie do- my kultury, drogi; a że w Jakubicach, Zagajewie albo Prusimowicach nie wywia- zują się z obowiązkowych dostaw, czy z podatkami kłopsko? No, mój Boże, przecież wszystko naraz nie może grać. Ludzie lubią wyczekiwać, ale w końcu zawsze jakoś tam będzie. Grunt, że wreszcie skończy- ła się ta krytyka i jakaś tam walka klasowa. Dzięki Bogu ludzie na nowo zaczy-

nają się kochać. Bo to, pa- nie, ludzie zawsze się ko- chali. I po co to wymyślili te różne walki? Ludzie ko- chają się...

Nadziały optymizmem pański reporter



Redaktorze! Koza miał rację. Burzenin — to jakaś Arkadia, czyli ziemia szczęśliwa.

Przyjechałem akurat na uroczystość z „ochłajem”. Wódzy w bród — dają słow- wa! I gdzie tu ludzimi w głowie jakieś tam wymy- ślone w mieście czarnowid- dztwo?

Moja wizyta w Gromadz-kiej Radzie Narodowej wy- wołała dziwny niepokój. — Rozumiem, rozumiem. Tuż przed przyjemnie zapowia- dającym się „ubawem” przy-

ciagu tych przeszło dwudziestu lat! Wiele rzeczy znikło bezpowrotnie, wiele rzeczy powstało zupełnie nowych. Inny Paryż, inni ludzie! Ot, na przykład, ci młodzi chłopcy, nie mający jeszcze matury, a już pod wąsem i z brodami, albo te dziewczęta, najwyżej piętnastoletnie, a już z klipsami w uszach, jaskrawą szminką na ustach i z wyzywająco drwiącym uśmiechem w oczach, to nowy całkiem nabytek dzisiejszego Paryża. Ich jeszcze nie było za ostatnim moim pobytem, ale byli clochardy, a teraz jest ich jeszcze więcej, to wprost rzuca się w oczy. Czy z niedzy? Odpowiadają stateczni paryżanie, że to raczej z przybranej postawy abnegacji, wynika swoiste filozofii życiowej, niż z rzeczywistej konieczności, z przymusowej błędy. Jak to tam jest istotnie, trudno było dociec, bo clochardy to naród honorowy i z byle etranżerem rozmów na własny temat nie uskutecznią. Zwalazca na trzeźwo. A na rozmowę przy butelce w zakazanej jakiejś spelunce, przysnam się, nie stało mi odwagi. Z czarujących osób pozostał jeszcze bukiniści nad brzegiem Sekwany w okolicach Notre-Dame, ale drzewa nad Sekwaną nie wszystkie pozostały te same. Ileż starych nie znalazłem, ściał je czas, ale ten sam czas posadził i pozwolił wyrosnąć wielu nowym. Szumią niby tak samo jak dawne, ale jednak... nie tak samo. Podniosłem spadły liść jednego z tych drzew, podniosłem, zniżałem w palcach i rzuciłem. Przed wojną liść ze starego klonu tuż przy Pont Neuf, klonu, którego już nie ma, pachniał mocniej i przyjemniej... Ulice, bulwary, pasaża i aleje, skwery i place te same, ale jakże inne. To już nie ulice i place, na których dominował tłum ludzki, to właściwie olbrzymie parkingi, gdzie rojowisko aut i pojazdów mechanicznych wszelkiego rodzaju sprawia niesamowite wrażenie, zwłaszcza nocą, drgającego chaosu, rozbieganego we wszystkie strony robactwa, monstrualnych brunatnych karaluchów lub polyskliwych różnobarwnie żuków. Więcej maszyn na jezdniach niż ludzi na chodnikach. Toteż chodniki na głównych bulwarach z roku na rok są zważane na korzyść jezdni, a na niekorzyść drzew i zieleni, które przesadza się bliżej domów, albo w ogóle się likwiduje. Kurczy się naturalna wegetacja, rośnie kamień i żelazo, zmniejsza się ilość tlenu, a powiększa się ilość spalin i dymu. Puste są kościoły, muzea i wystawy, pełne nocne lokale, chantańy i kabarety. Zmniejszyła się ilość domów publicz-

nych, zwiększyła się ilość domów schadzek. Prostytutki operują zaczepnie nie tylko od zmierechu, jak dawniej, ale przez cały dzień i to w najbardziej reprezentacyjnych dzielnicach. Czy to też należy zapisać na karb postępowych zmian w Paryżu? Za to znikli i już zdaje się bezpowrotnie owi uliczni śpiewacy paryscy. Ale czy na pewno już bezpowrotnie? Pieczone kasztany też podobno zniknęły kiedyś na parę lat z ulic paryskich, a teraz znów wróciły. A Paryż, moi drodzy, w roku 1952 skończył równe dwa tysiące lat, a więc jest dwukrotnie starszy od Państwa Polskiego i nie dziwi się niezemu, bo widział już niejedne odejścia i powroty. Ale o tym w następnej epistole.



Mając lat szesnaście i powabną postać, ufną w swą urodę, chciała sławną zostać.

W kawiarni poznała, co często się zdarza, posiadacza brzuska — znanego malarza.

Malarz ją poprosił w słowach pełnych taktu, żeby mu zechciała pozować do aktu.

Mistrz aktów malował wolno, bez pośpiechu — w przerwach przerabiali wspólnie „Dzieje grechu”.

Żeby móc swobodnie zwiedzać sztuki chramy, uciekła więc z domu spod opieki mamy.

Wkrótce zapragnęła poznać tańca sztukę — do choreografa poszła na naukę.

Już dobrze tańczyła „danse du ventre” na stole, gdy pewien reżyser dał jej w filmie rolę.

Na filmie nie mogła ujrzyć siebie w tłoku — filmowca rzuciła po niecałym roku.

Przyjął ją więc aktor, dał jej dykcję lekcję, lecz szybko pośegnał, by zwiększyć kolekcję.

Gdy przeszła przez wiele artystycznych łóżek, uziął z nią ślub spekulant dla jej grabnych nóg.

Wnet ją artystyczna odeszła ochota i nad blaski sztuki przeniosła blask złota.

Dzisiaj wszyscy zgodnie chwalą jej zalety. I zdobyła sławę — poprzez toalety.

Fraszki

MĘCZENNICE

Codziennie tracą głowy na stosie pacierzowym.

O PEWNEJ

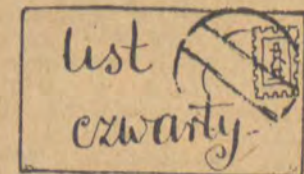
Wdzięku ma sporo, więc wszyscy biorą.

WSTYDLIWA

Kiedy jej się spłoni lico, zakrywa oczy spódnica.

FINAL

Gdy serce z sercem dojdzie do ładu, wnet następuje proces rozkładu.



Na wstępie dziękuję, proszę i przepraszam. Dziękuję za mowę, jaką niewątpliwie pan wygłosił po otrzymaniu ostatniego listu, proszę (bardzo) jej nie powtarzać, gdy powrócę i przepraszam, bo z tym kochaniem okazało się nie tak...

Panie redaktorze! W naszych wyobrażeniach o jakimś konkretnie zachodzącym podobie zmian jak w naczyniu z wodą. Wystarczy kropelkami sączyć atrament, ażeby woda zmieniła barwę. Toteż nie dziwnego, że na moim obrazku ukazujące się kleksy stopniowo zmieniały sielankowe kontury Burzenina. Pierwszym takim kleksem było

dziny, wiersza satyrycznego — od 5 do 8 godzin, humoru — od 8 do 10 godzin. Ponieważ śmiech mnie bardzo męczy, nie pisuję komedii i powieści satyrycznych.

2. Czy lubi pan zwierzęta, a jeśli tak, to jakie?

Tak. Futerkowe.

3. Czy gra Pan w „Kurkuleczkę”? A jeśli nie, to w co?

Nie. Grymam tylko w lawn-tennis, krokiet, pokera i oko.

4. W jakich warunkach Pan pracuje? Co Panu przeszkadza, a co pomaga w pracy?

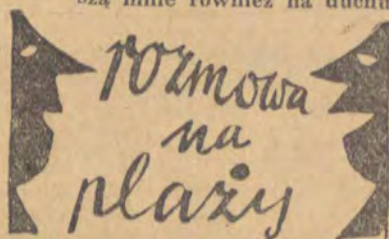
Pracuję w warunkach pokojowych. W pracy przeszkadzają mi niskie ceny utworów satyrycznych, a pomaga palenie nargili, wachanie tuberozy i słuchanie muzyki konkretnej.

5. Co sądzi Pan o swoich kolegach — satyrykach?

Nie. Od sążenia są kolegami orzekające.

6. Czy „Odgłosy” Pana bawią? Uczą? Podtrzymują na duchu?

„Odgłosy” mnie bawią (Lunapark) i uczą (Belfer). Jeśli mnie drukują, podnoszą mnie również na duchu.



Na białym piasku plaży ciało przy ciebie się smaży.

Ciało się pyta ciała: „Przyjdiesz dziś do mnie, mała?”

Odrzeczcie ciało do ciała: „Bardzo bym do ciebie przyjechać chciała.

Ciała mam twego wciąż mało, lecz poparzone mam ciało.

Nie dziś ze słodkiej swawoli, bo całe ciało mię boli”.

Na to ciało się obrusza: „Kto cię tak spieć ciało zmuszał?”

„Ależ zrozum, mój aniele, chciałam wyrwać przy twym ciebie” —

odpowiada ciało ciała, z bólu bliskie prawie szału —

„dusza moja z twego ciała, nigdy nie zrezygnowała,

bo choć już nie może ciało, duszy jeszcze jest za mało”.



Jak to dobrze, że na granicy przyzwoitości nie ma odprawy celnej.

Złe jest, jeśli miłość mierzy się centymetrem.



Korespondencyjny Kurs Języka Plastycznego pod redakcją HENRYKA ANDERSA

Mówiliśmy ostatnio o dwóch odmiennych postawach twórczych stanowiących źródło nieustannych sporów i konfliktów artystycznych. Nie jest to wszakże jedyny teatr świętej wojny. Wieczny spór toczy się —



Rembrandt, Portret Polaka

nie tylko w sztuce zresztą — między następującymi po sobie pokoleniami. Powoduje to zmianę stylów — jeżeli weźmiemy dłuższe okresy czasu, zmianę mody — w okresach krótszych.

Zauważyliście pewnie, że nowo-wznoszone budynki mieszkalne czcigodny DBOR (czy jak On się teraz zwie) maluje na różne wesole kolory: różowe, fioletowe, niebieskie. Jest to moda, którą wszyscy witamy raczej przychylnie, ale jeszcze kilka lat temu wydawało się nam, że budownictwo socjalistyczne powinno być surowe i powabne, że wszelkie podobne figliki nie licują z godnością Epoki. Po prostu zmienił się gust, nie na tyle jednak, żeby podobały się nam pokreśnione ozdóbki stołecznych pseudopalców, owe przysłowio-we kwiatki przy kołuchach.

Niektórzy teoretycy — doszukujący się w historii naszej schematów niż praw —

Kobieta jest jak biżuteria — nie można poznać, czy jest prawdziwa czy fałszywa.

Kobieta jest jak damska torebka — nigdy w niej nie można znaleźć tego, czego się szuka.

nazywają owe fluktuacje stylowe, zwłaszcza długofalowe, powtarzającym się stale przechodzeniem renesansu w barok. Istotnie podobne zjawisko pojawiało się w dziejach kilkakrotnie; i tak po sztuce klasycznej greckiej nastąpił okres sztuki hellenistycznej, a w czasach nowożytnych styl wieku szesnastego zwany renesansem przekształcił się w ciagu stu lat w swoje własne zaprzeczenie — w styl, który właśnie otrzymał nazwę baroku.

Zmiana gustu była gruntowna, objęła wszystkie dziedziny życia kulturalnego. Zmieniła się muzyka i literatura, budownictwo i stroje, a wszystko dlatego, że zmienili się ludzie. Człowiek renesansu, energiczny i odważny ale świadomy własnej godności, był stateczny, cenil prawdę oraz piękno, które widział w prostocie i harmonii. Człowiek wieku siedemnastego może nawet bardziej agresywny nie posiadał już tej pewności siebie. W trudnych sytuacjach



Rafael, Portret męski

nadrabiał miną, lubił pozory, puszył się, blagował. Piękna dopatrywał się w przepychu, w ozdóbach (na pokaz wystarzał mu zresztą fałszywe klejnoty). W teatralnym geście. Przypomnijmy sobie Zagłobę, typowego przedstawiciela swoich czasów. A dla ilustracji porównajmy dwa portrety: zaginiony obraz Rafaela z Muzeum Czartoryskich w Krakowie oraz dzieło Rembrandta — wizerunek rzekomego polskiego szlachcica.

Obserwując dwa pokolenia — wojenne i powojenne — czy nie przychodzi nam, kochani, na myśl, że historia się powtarza?

jeżdża nieznaną facet, diabli wiedzą w jakich zamiarach...

W jednej z sal szkolnych trwała właśnie akademія. Towarzysz z powiatu niepoprawną polszczyzną odczytał przydługą referat o kolicznościowy (żał, że w tak wdziczny temat włożono tak mało serca) przerywany pojawieniem się delegacji. Panienci w dygach odczytywały życzenia z przewiązanych wstążkami staromodnych laurów.

Akademія stawała się męczącą nawet dla tych z za stołu przyzwoitego. Co rusz to ktoś wychodził do sali obok gdzie spoczęły kobiecin w pośpiechu przystawiały jado i odnosiły na stoły. Dopiero tańce poprawiły humor, a już przejdzie do zastawionej sali i widok gęsto rozstawionych butelek z zakropioną „czyszczością” — zdecydowanie. Ach, co za rozkosz widzieć po kilku, jakże wzniosłych toastach, te zarumienione i

pełne energii twarze przesyłające sobie nawzajem uśmiechy.

Pod koniec zabawy co prawda przyjechał ktoś z powiatu i wszyscy „w trymiga” zaczęli dreptać cnotliwie wokół osoby w tak hymnu narodowego, zagrano na powitanie przez orkiestrę w składzie: skrzypce, akordeon, kornet, bęben. To przecież nie takie go. Gdyby była kompania honorowa z orkiestrą dętą, byłoby inaczej, a tak, czym chata bogata... Najważniejsze jest to, że się ludzie kochają.

Panie redaktorze, życie jest piękne w Burzeninie. Pański niezdyscyplinowany reporter



pojawienie się Klimafskiej. Weszła do pokoju przewodniczącego GRN rogami chustki ocierając załzawione oczy. Nie pomogły żadne prośby, że „pan redaktor rozmawia”. Kobięcina stała pokornie przy drzwiach, płacząc.

— Mój niewinny — zaczęła, w nieznanym kierunku wygrazając pięścią. — Był magazynerem w GS, a oni pokreśli z mąką. Przecież mój mąż nie zjadł ani nie sprzedał. Bo to nie da się tak! Jakby ktoś sprawiedliwie poszukiwał, to by się i pokazało. Co on teraz ma zrobić? Siedzi tyle miesięcy bez pracy, a tu dzieci wolają jeść...

Zale bywają różne. Jan Kopka — naczelnik miejscowej straży opowiada, jak to jego brata Tadeusza pobił pałką sierżant MO Swinarski, któremu kiedyś na zabawie strażackiej musiał dawać wódkę, żeby nie rozgonił zabawy; to znów ktoś inny ma żal o pobicie

Włodarczyka, doprowadzonego do aresztu.

A jak tu dochodzić prawdy, kiedy w urzędowej notatce miejscowej milicji zapisano, że: „...E. Włodarczyk wspólnie z innymi w dniu 3 listopada 58 roku w Burzeninie napadł na ob. Szymczaka Wojciecha...” a „...w dniu 22 listopada 1958 roku Tadeusz Kopka napadł na sierżanta MO Swinarskiego...”?

Mówili mi ludzie w Burzeninie, mówili po cichu: —Widzicie jak to jest w Burzeninie? Nie ma komu zadbać o chłopów! Przyjdzie człowiek do GS, odjedzie z kwitkiem, bo w gospodzie ich zawsze zastaniesz... Co tam będą dbali o nas? Swoją ziemię oddali w dzierżawę, a o cudze niech się pies z kulawą nogą martwi. Za posadę i tak placą. W sklepie manko, w piekarni manko, w gospodzie też, a jakże. Jak się pije, to i manko musi być.

A więc widzi pan, jak to człowiek odnajduje stare przysłowie: „Nie wszystko złoto co się świeci”. Koniec bo jak na pierwszy dzień, rozczarowania za wiele byłoby.

Z głębokim pokłonem i zapewnieniem poprawy pański

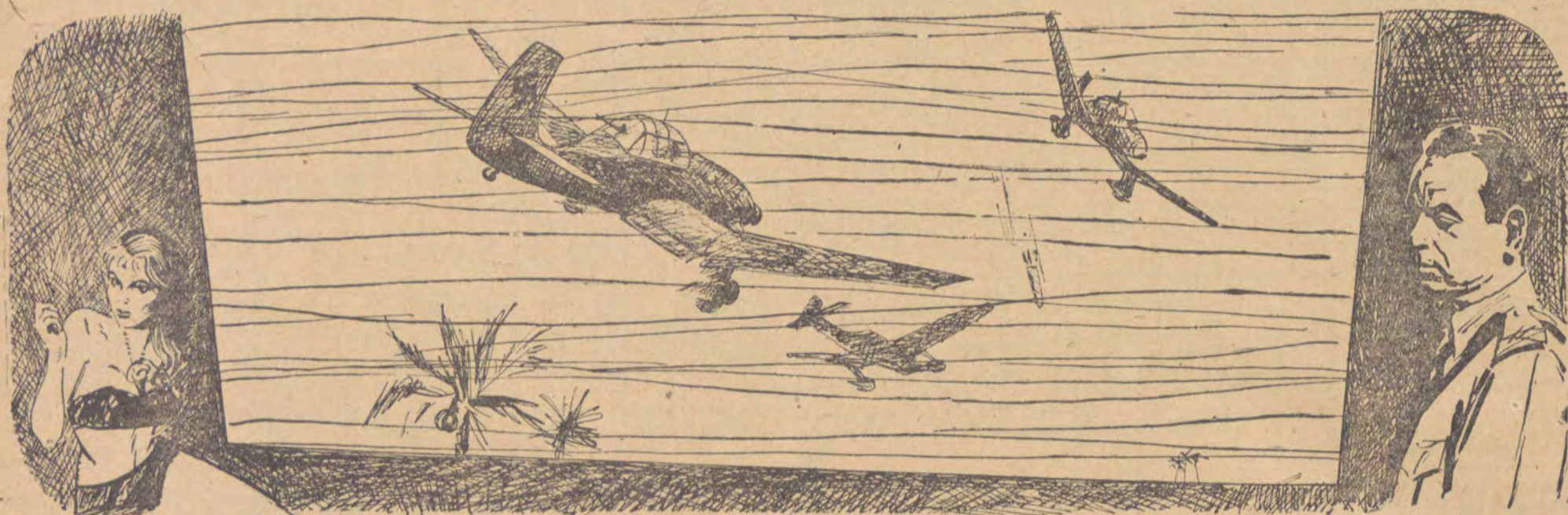
reporter



Zły jestem. Błądzą po miasteczku z kąta w kąt, okrażam diabli wiedzą po raz który najdłuższą uliczkę miasteczka (Dalszy ciąg na str. 8)



Pustynne szczyry



Major Easonsmith postanowił podwieźć Arabów samochodem — tak daleko, jak to było możliwe w dzień. Mieli oni dotrzeć do Barce pieszo, zebrać pośpiesznie informacje i spotkać się o piątej po południu z majorem Popskim przy grobowcu szejka Sidi Selim, o dziesięć kilometrów od Barce.

Wystawione przez szwadron ubezpieczenia otrzymały rozkaz zatrzymania wszelkich Arabów, którzy by się pojawili w okolicy obozowiska. Do południa zebrał się ich z tuzin. Potwierdzili oni wiadomości o przybyciu do Barce czołgów. Słyszeli również, że do El Abiar, o pięćdziesiąt kilometrów na zachód, przybyły świeże oddziały w sile około 20.000 ludzi.

— Sily własne: dwa patrole L.R.D.G. Brytyjska grupa uderzeniowa znajduje się na przedpolu Benghaz, sto kilometrów na południowy zachód. Linia frontu przebiega pod El Alamein, dziewięćset kilometrów na wschód.

Zamiar: zniszczyć w nocy samoloty znajdujące się na lotnisku w Barce. Równocześnie, celem odwrócenia uwagi nieprzyjaciela, zaatakować dowództwo w Barce i garnizon.

Wykonanie: o 16.00 major Popski pojedzie swoim jeepem do Sidi Selim i będzie czekał na przybycie wysłanych do Barce Arabów. Odbierze od nich informacje i przygotowuje je do przekazania szwadronowi.

Szwadron spożyje posiłek i o 18.15 — o zmroku — wyruszy do Sidi Selim, gdzie przybędzie o 19.00. Pozostanie tam wóz radiowy, który nawiąże łączność z grupą Stirlinga na przedpolu Benghaz, oraz lekarz. Reszta szwadronu o 21.00 wyruszy do Barce. Po osiągnięciu skrajnej miejscowości szwadron rozdzieli się: patrol nowozelandzki skieruje się na lotnisko, patrol gwardii do koszar, major Popski z jednym wozem ze składu patrolu gwardii będzie ubezpieczał odwrót szwadronu, trzymając szosę prowadzącą do miasta. Miejsce spotkania dla tych, którzy odłączą się od swoich patroli, przy grobowcu szejka Sidi Selim.

Major Easonsmith skończył. Teraz major Popski rozkłada mapy, zdjęcia lotnicze, pocztówki, i opisuje szczegółowo miasto, budynki, ulice. Zna Barce doskonale, był tam wielokrotnie. Dwie główne ulice miasta, zbudowane przez Włochów, tworzą T. Tam, gdzie się stykają, mieści się rynek i dworzec kolejowy. Od tych dwóch głównych ulic biegnie płatanina zaułków zabudowanych domami arabskimi. Szwadron wjedzie do miasta lewą poziomą kreską T. Do-

wództwo nieprzyjacielskie mieści się w połowie kreski pionowej. Lotnisko położone jest u dołu kreski pionowej. Prawa kreska pozioma prowadzi do koszar.

Ostatnie pytania, wyjaśnienia. Dochodzi godzina 16.00. Major Popski i kierowca podchodzą do jepra, rzut oka, czy wszystko w porządku. Zajmują miejsca. Kierowca prowadzi wóz, major, obok niego, ma przed sobą sprzężone karabiny maszynowe. Ruszyli.

Warkot silnika powoli słabnie. Zostawia za sobą ciżbę. Ludzie, wyciągnięci w cieniu wozów, odpoczywają. Niektórzy czytają książki. Inni drzemią. Przygotowania są już ukończone, teraz pozostaje tylko czekać. Jedyne z wozu radiowego dobiega niskie wycie przetwornicy — radiooperator jest na nasłuchu.

★

— Proszę, nie pan wejdzie. Przestraszył mnie pański telefon. Co się stało? Jest strasznie późno...

— Prosiła mnie pani o przekazanie wiadomości o trzynastym do Dowództwa Środkowego Wschodu. Muszę im wskazać osobę, od której tę informację otrzymałem. Muszę. Innego wyjścia nie mam. Oczywiście nie wydam pani. Kto pani to powiedział?

— Chwilę. Niech pan usiądzie. Kieliszek whisky dobrze panu zrobi. Dla czego musi pan? Zostali ostrzeżeni, czy to nie wystarczy?

— Nie, nie wystarczy. Cino, błagam, niech pani nie pyta, mam strasznie mało czasu, obiecałem, że za pół godziny będę z powrotem. Zapłaciła mnie pani w sytuację naprawdę nie do pozazdroszczenia. Mogła pani przecież do Dowództwa wysłać list...

— Anonim? Myślałam o tym. Ale czy daliby takiemu listowi wiarę? Na pewno nie. Potem zobaczyłam pana, i pomyślałam, że pan da sobie z tym radę.

Dlaczego tak im zależy na wskazaniu tej osoby?

— Żeby ustalić, jak dalece Włochy Niemcy znają plany operacji.

— Może pan spokojnie powiedzieć: Włochi, tak, jak pan chciał. Chociaż należałoby powiedzieć: faszysty włoscy. Zresztą nie ma to w tej chwili znaczenia. Wiedzą wszystko: gdzie, kiedy, kto. Miejsca akcji. Skład oddziałów. Nie znają jedynie trasy domarszu, ale to nie jest przecież ważne. Obojętne, skąd, jeśli wiadomo,

dokąd. Panowie alianci mają bardzo długie języki i lubią, jak ich podziwiają kobiety...

— Czy pani jest zupełnie pewna, że... nieprzyjacieli dysponuje wszystkimi tymi danymi?

— Zupełnie. Mogę zresztą wyliczyć miejsca, na które planujecie akcje: Benghaz, Tobruk, Barce, Benina, Derna, Selo. To pana chyba przekona.

— Nie o mnie chodzi. To musi ich przekonać. Nie będą teraz mieli podstaw, by nadal żądać ode mnie wskazania tej osoby. To, co powiem, aż nadto wystarczy do podjęcia decyzji. Jeszcze jest czas. Ale... dlaczego właściwie powiedziała nam pani o tym wszystkim?

— Właśnie. Dlaczego właściwie?

W drzwiach stoi starszy, szpakowaty, wypięgnowany mężczyzna.

— Luigi! Jak pan tu wszedł?!

— To nie jest ważne. Ważne natomiast jest, dlaczego bawi pani tego sympatycznego młodego człowieka tak nudnymi historiami, zamiast rozmawiać z nim, jak z każdym mężczyzną, o miłości? A pan, młody, sympatyczny człowieku, nie powinien popełniać tak okropnego faux pas. Kto to słyszał, żeby późną nocą przed willą młodej, pięknej kobiety zostawiać samochód, i to wojskowy, ze znakami Dowództwa Środkowego Wschodu! Złośliwe języki tylko czekają... bardzo proszę, żadnych nieogłędnych ruchów!... samochód kazalem oczywiście zabrać, przy okazji zajęliśmy się również jego mocami, który go dyskretnie pilnował — nie wiedział pan, że jest pan śledzony? Cóż za naiwność. No tak, w tym wieku... Cino, zapomina pani o obowiązkach gospodyni, i ja chętnie czegoś bym się napił — nie, nie whisky, to zbyt aliancki trunk, o ile pamiętam, ma pani Martini secco...

★

— A więc dzisiejszej nocy nasze losy się rozstrzygną!

Dwóch mężczyzn w spłowiałych, zniszczonych mundurach angielskich stoi przy zaskach z drutu kolczastego. Strażnik z wieżyczki patrzy na nich obojętnie. Z początku, kiedy z oddziału liniowego przeniesiono go do kompanii wartowniczej, żałował tych ludzi zamkniętych za drutami, skazanych na żalosną, beczynną egzystencję jeńców. Ale szybko otepiał.

(D. c. n.)

(Dalszy ciąg ze str. 7)

ka albo cmentarz i znów powracam, znów ten sam czworokąt... echi! A tu jeszcze z nieba: kap, kap, w butach: chlup, chlup... Na domiar złego te dziwne rozmowy, w których traci się resztki optymizmu. Np. rozmowa z pewnym radnym GRN:

— Wy odjedźcie, ja zostanę. A co samemu można zrobić? Tu potrzeba silnej ręki i to niejednę. Moje poczynania to walka z wiatrakami. W wyniku moich wystąpień Zarząd GS przynajmniej na godziny urzędowania przeniósł się z gospody do biura(?). Ale przecież nie o to chodzi. Na libacje przy zamkniętych drzwiach gospody i to w znacznie poszerzonym gronie — nie mam żadnego

wplywu. Samotnie przeciwstawiać się grupie ludzi, to zbyt ryzykowne jak na moje lata. O, taki proces kolegium orzekającego jak w Wołowie zorganizowano, na miejscową persone pijaka u nas zrobić, tylko głośno, niech wszyscy wiedzą! Potem poprzecinać wszystkie niteczki tworzące matnię. Byłby to nie tylko świeży oddech, ale i ukrócenie złośliwości. Myślę, że ci co kierują placówką, powinni też być odpowiedzialni za powstające nadużycia. Czy myślicie, że takie sprawy nie mają ujemnego wpływu na okolicę? Jakżeż ci sami ludzie mogą tworzyć nowe oblicze wsi...?!

Jeszcze w Sieradzu podsunęto mi nazwisko pewnego człowieka z Burzenina: „porozmawiajcie z nim, na pewno to, co wam powie, będzie interesujące i mimo wszystko on ma wiele racji...”.

Rzeczywiście, Pająk vel Pytlewski jest osobą znaną. Nawet kiedyś ktoś w gazo-

cie interesował się nim i zaaplikował mu początki schizofrenii na tle manii prześladowczej. Nie wchodzi w meritum diagnozy, bo to poważna i kto wie czy nie najtrudniejsza dziedzina medycyna, a tym trudniejsza, myślę, dla dziennikarza.

Na terenie Burzenina, panie redaktorze, o Pająku mówią różnie: jedni, że dziwak, inni że wariat, jeszcze inni, że chciałby rządzić i swoje wygrywać. Ale dla wielu spośród tych, którzy najmniej w życiu miasteczka dają o sobie znać i na pijaństwo patrzą mniej łaskawym okiem — jest autorytetem. Mnie osobiście, nie trafiają do przekonania ludzie pokroju Pająka. Nie dlatego, że śledził w kryminale za jakimś tam niecnie czynem, a po prostu, że jest zbyt ruchliwy. Tu mieszkał, tam odszedł, tu go wylali, ale mimo wszystko był wiceprezesem GS w Burzeninie. I jeśli jednak jest cokolwiek prawdą w jego słowach?

— Manka w gospodzie? — opowiada Pająk. — A kto pijał i kazał zapisywać na „kreskę”? A w piekarni nie było nadużyć na 48 tys. zł? Byli! Ale widzi pan, są osoby nienaruszalne w GS. Mimo, że była uchwała Rady Spółdzielczej, żeby zwolnić kierownika piekarni, to miast zwolnienia przeniesiono go na kierownika gospody. Kiedyś do GS przyszedł superfosfat luzem. Tym samym transportem fabryka przysłała jeszcze 360 worków, a przywieziono tylko 80... Gdy zażądałem protokolarnego odbioru — byłem wiceprezesem — to...

Przyzna pan, redaktorze, że takie rozmowy nie są budujące. Czyżby w Burzeninie nie było więcej takich ludzi jak wspomniany na początku listu radny?

I jak tu nie być złym? Z góry: kap, kap... A może moja złość pochodzi z niemocy?

Z pozdrowieniami
reporter

list
siostry

Niedziela. Już od kilku godzin wałęsam się wokół rynku, jak gdyby w poszukiwaniu optymizmu, z którym tutaj przyjechałem. Bez znajomości wewnętrznej tętnej kryjącej się tam za oknami domostw, których tyle odwiedziłem, byłoby mi znacznie łatwiej podziwiać urok miasteczka i okolic. Ale jak tu podziwiać, kiedy na miejscu uleciałego optymizmu powstaje jakaś gorycz, tworząca bunt? Przeciwnie czemu? Przeciwnie tej karteczce anonsującej: „apteka skuteczna”, wiszącej od wczesnej soboty do...?

Ludzie przecież potrzebują się zabawić, z tym tylko, że jednych stać na trzy-

dniowy wyjazd do Warszawy, innych na miejscową gospodę. Czy przez te trzy dni ktoś umrze? W razie potrzeby wystarczy przejechać 18 km do Sieradza, albo 35 do Wielunia, a pomoc się znajdzie.

Nawet niezawodne lekarstwo — czytanie nie ratuje samopoczucia. Widocznie nie tylko mnie, skoro na ponad 4 tys. mieszkańców czyta, plus-minus, co osiemdziesiąty człowiek (w tym gazety codzienne i periodyki), ale za to ilość sprzedawanego dziennika alkochołu wystarczyłaby na taki podział: co czwarty mieszkaniec 100 gramów — dziennie!!!

Grupa ludzi powracających z kościoła przygląda mi się natarczywie. Są to jednak raczej odwzajemnione spojrzenia na moje natrętne poszukiwania wśród nich tych, którzy kiedyś na miejscowym zebraniu partyjnym domagali się najgłośniejszego wykluczenia ko-

Sprawa pana

T

dokończenie

działem się, że rozmawiający nie wiedzieli dotychczas w ogóle, iż proceder taki jest karalny.

Wymiar sprawiedliwości w społeczeństwie składa się nie tylko z aktorów widowisk sądowych, ale i z publiczności. Każda czynność sądu spotyka szeroki rezonans społeczny, to ona z kolei jest osadzana. Oczywiście osad ten nie jest miarodajny, pojęcia społeczne o sprawiedliwości niewiele mają wspólnego z kodeksem karnym, teorią prawa itd. Tym niemniej są pojęciami ważącymi i ważnymi.

Idealna, a więc praktyczna niemożliwość do zaistnienia sytuacji czyni taki stan rzeczy, kiedy społeczne pojęcia o sprawiedliwości pokrywają się z obowiązującymi normami prawnymi. Ale w każdym razie troską państwa powinno być niwelowanie istniejących dysproporcji.

Nasuwa się pytanie: dlaczego w szkole człowiek nie dowiaduje się przynajmniej podstawowych wiadomości o dziedziny kodeksu karnego i cywilnego? Dlaczego wchodzi w życie bez podstawowej choćby, a tak potrzebnej każdemu wiedzy o tym, co wolno, a czego w świetle prawa nie wolno? Że wreszcie nie mając pojęcia o podstawach teorii prawa, nie znając myśli przewodniej autorów obowiązujących norm prawnych, skazany zostaje na zwojne „społeczne odczucie”, za co karza, za co nie, co jest sprawiedliwe, a co nie, że przeciętny człowiek nie pojmuje praktyki sprawiedliwości.

A w szkole, jak to w szkole. Wykładają tam różne rzeczy, o wiele mniej potrzebne i ważne. O kodeksie Hammurabiego — to na przykład uczą.

Boję się jednak, że te refleksje stają się coraz bardziej odległe od sprawy majora T. Sąd uznał zasadniczo stan faktyczny, zawarł w akcie oskarżenia i skazał majora T. na dwa lata więzienia i degradację do stopnia szeregowca. Tedy niech mu odsiadka lekka będzie.

ZB. CHYLIŃSKI

Powyższy tekst we fragmentach wygłosił Autor przed mikrofonem Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Powtarzamy go w pełnej wersji ze względu na jego dokumentarny charakter.

Codziennie rano prezes Sądu dla Nieletnich, sędzia Zofia Bartnicka odbiera dziesiątki listów. Kiedy patrzy na koperty adresowane niewybionym jeszcze piśmem, mimo woli zadaje sobie pytanie: „Czyżby znowu?”

Tak. Niebieskie koperty kryją wewnątrz prośby, nalegania, czasem wprost — błagania, albo dla odmiany — groźby. Niebieskie koperty wędrują do specjalnych teczek ze stemplem sądu i adnotacją: „Akta sprawy ob. X”. Później sąd przesłuchuje świadków i wyznaczy roz-

prawy wybranego (ten akurat już pracuje) i pełna do- brych myśli czeka na „po- zytywną odpowiedź”. A ro- dzice? Ot, chociażby matka... — „Pan sędzio, niech się żeni. Czego to im młodym żałować będziemy. Skończyła 16 lat. Już się nabyła panną. Chłopak do wojska idzie, może ją rzucić. Ja tam się zgadzam... No to co, że nie ma zawodu? Przy mnie będzie, to się nauczy czego trzeba. Też tam takie ceregiele z tym ślubem”...

Albo inny przykład. Tym razem „stroną atakującą na całą frondę” i nawet nie

prośby pozytywnie bez tego „najważniejszego” powodu — postaram się o to”...

W art. 10 pkt. 2 Kodeksu Rodzinnego jest taka senten- cja: „Zawarcie małżeństwa powinno być wynikiem roz- ważnej i dojrzałej decyzji”. Czy taka rozważna i dojrz- ła decyzja może powziąć 16- letnia dziewczyna? Czy 16-letnia dziewczyna zdolna jest pra- widłowo zorganizować dom, umiejętnie prowadzić gospo- darstwo i co najważniejsze, przygotować odpowiednią atmosferę, w jakiej wycho- wywać się będą jej dzieci?

dzieciaki, pieluchy. Pewnie, że są awantury. Dzieci? No, placzą, jak ona mnie wy- zywa i rwie się do bicia. Ale my się i tak rozwiedzie- my. Co znowu, dzieci? To się zobaczy. Nie chcę z nią mieszać...”

Znam dwoje innych ludzi, też jeszcze bardzo młodych. Mieszkają w powiatowym mieście. Mają już dwoje dzieci, trzecie urodzi się wkrótce. Do małżeństwa po- dobno namawiała matka. Po urodzeniu się pierwszego dziecka mieli wziąć rozwód, ale akurat... przyszło na świat drugie. Potem ona po-

NIEBEZPIECZNE ZABAWY W MAŁŻEŃSTWO

HALINA

BATOROWICZ

prawę, która zaczęła się od odczytania takiego dla przy- kładu listu:

„Ja... (tu wymienione jest imię, nazwisko i adres) u- rodzona dnia 2 lipca 1942 roku zwracam się do Sądu dla Nieletnich z prośbą o pozwolenie na wstąpienie w związek małżeński. Jako powód podaję, że mój przy- szły mąż idzie do wojska i chciałbym się przedtem pobrać. Proszę o pozytywne i szybkie załatwienie tej sprawy”.

Szesnastoletnia dziewczyna (bo to przeważnie dziewczyny piszą do sądu listy z prośbą o pozwolenie na za- warcie związku małżeńskie- go) dołącza do swego poda- nia sążnistą „opinię” matki, pochwalną opinię z miejsca

uciekająca się specjalnie do pomocy mamy, jest 17-letnia panna Z. Oto jej podanie:

„Jestem osobą niepełnolet- nią, urodzoną 21 lutego 1942 roku. Obecnie chce wstąpić w związek małżeń- ski z ob... Cała trudność po- lega na tym, że do ukończe- nia 18 lat będzie mi brako- wać kilka miesięcy. Domy- ślam się, że sprawa moja będzie dość trudna, bo po pierwsze — nikt mnie do małżeństwa nie zmusza i co najważniejsze „jeszcze nie jestem w ciąży”.

To była ta część podania napisana w formie raczej przyzwolonej. A teraz, uwaga, następuje szantaż: „... piszę „jeszcze” bo jest rzeczą możliwą, że jeżeli nie da się załatwić mojej

Sąd udziela pozwolenia na ślub ludziom niepełnoletnim, ale tylko w bardzo ważnych przypadkach. Sąd nie udzie- la pozwolenia, jeżeli powody podane przez wnoszącego prośbę są białe, a niekiedy wprost śmieszne. Nie zna- czy to jednak wcale, że po- dań jest coraz mniej. Wprost przeciwnie. Ich liczba rośnie i rośnie... lamenty matek „wystawiających się” za swymi dziećmi: „Niech idzie za mąż. Niech się żeni. Dla- czego sąd nie pozwala?”

Dlaczego sąd wyraża sprzeciw?

Przed biurkiem sędziego dwoje młodych jeszcze lu- dzi. On ma 23 lata, ona 20. Wezwano ich na rozmowę, ponieważ do sądu wpłynęło doniesienie o ciągłych kłótni- ach w domu, o częstym his- terycznym płaczu zalekni- nych dzieci.

Usiedli daleko od siebie, każde patrzy w inną stronę. A jeżeli nawet ich spojrze- nia skrzyżują się na chwilę, tyle w nich nienawiści, że człowieka mimo woli ogar- nia przerażenie.

Mówi ona: „Nie miałam jeszcze 17 lat jak wyszłam za niego. Poszedł do wojska i już zo- stawiał mi dzieciaka. Dru- gie urodziło się po jego ur- lopie. Jak miał wrócić, to już mi donosił śmiertelność, że ma kogoś, że chodzi na róż- ne prywatki. W Łodzi też „fruwał”. Ja z dziećmi w domu, a on na staw Stefań- skiego z dziewczynami na kajaki. Kłócimy się w do- mu. Tak jest. Ale ja już nie mogę wytrzymać. Czy to ta- kie jest małżeństwo?”

A on: „Jak szedłem do wojska to jej matka mówi: weźcie ślub, będzie pewniej. Byli ca- ła cuda, sąd pozwolenia nie chciał dać. To my — dziecko. Ale ja zawsze ża- łowałem. Co to jest, pan sę- dzio, żeby człowiek miał 23 lata i już nic tylko dom,

znała człowieka, który przy- jeżdżał z Łodzi na „delega- cję służbową”. Romans nie był nawet długi, ale narobił wiele złego. To trzecie dzie- cko jest ponoć „protestem” zdradzonego męża, jest „nie- spodzianką” dla młodej ko- biety, która nie zawsze chy- ba świadomie, chciała wy- przedzić życie, aż wreszcie zabiła na jego trudnych drogach.

Przykładami można by sy- pąć bez końca. Dla czytelnika — to swego rodzaju sen- sacja. Ale dla ludzi zapła- nych w wyżej przytoczone sprawy bezpośrednio, to, bez przesady — dramat.

I dlatego sąd wyraża sprzeciw, odrzucając poda- nia pragnących założyć ro- dzinę niepełnoletnich oby- wateli, dlatego sąd długo tłumaczy nierozsądnym mat- kom, aby nie podejmowały w imieniu nierozsądnych dzieci pochopnych decyzji, aby nie krzywdziły swoich córek, swoich synów i swo- ich przyszłych wnucząt.

„Dzieci są zawsze najbled- niejsze”. Bronię racji tego powiedzenia zasłyszanego u pewnej młodej, porzuconej przez męża kobiety. Zanim młodzi rodzice rozwiodą się (a prawie wszystkie „mał- żeństwa - wcześniaki” tak właśnie się kończą) i założą nowe rodziny — dzieci ogl- dają w domu, dantejskie sce- ny, wysłuchują słów, któ- rych przecież nigdy mogłyby nie usłyszeć, dzieci odbiera- ne są przez sąd i „przecho- wywane” w domach dziec- ka, dzieci trafia rodziców, najszcześliwsze lata. I dlate- go sąd wyraża sprzeciw...

Każde odrzucone podanie 16-letniej, niedorośleć dzie- wczyny, to pewnego stopnia gwarancja, że do modnej ostatnio, choć przecież nie- bezpiecznej „zabawy w ma- łżeństwo” — nowi partnerzy będą mieć bardzo utrudnio- ny dostęp.

nie do dzisiaj. Szkoda, o niejednym byśmy pogadali, bo to, panie, dzisiaj na wsi, to... ech! Cholera człowie- ka bierze. Jedno się skoń- czyło, inne się zaczyna, gor- sze, tylko że na nową me- lodię. Chociaż co to by dała ta nasza rozmowa? Czy to panu wydrukują, jak napi- sze pan prawdę...?

Właśnie, ostatnie słowa pana Kozy jakoś mną wstrząsnęły. Przypomnia- łem sobie, że jest tam w redakcji pan, który zaraz powie: „Co tam Zdrojewski o wsi powie? On widzi raz tak, drugi raz ślask, to znow inaczey...” A Zdrojewski panie redaktorze patrzy na sprawy wsi ani tak, ani ślask, ani inaczey, ani nawet nie tak jak pan Koza, bo prawda o wsi leży gdzieś pośrodku...

W Panu nadzieję pokła- dam, redaktorze.

MARIAN ZDROJEWSKI

wskim i prezesem Makotą, chociaż w gospodzie, jest jednak bardzo oficjalna. Niestety, prezes n.e. może dalej brać udział w roz- mowie, odwołany przez ko- mendanta posterunku prze- bywającego w pokoju obok. — Ja, widzicie, redaktó- rze, tyram — rozpoczyna mój rozmówca — człowiek chciałby niejedno zrobić, ale tutaj jestem niedawno... pracowało się na wyższych stanowiskach.

— Powiedźcie mi, co to jest za sprawa z piekarnią i kie- rownikiem? — pytam na- iwnie.

— Było coś tam, teraz przeniesiony jest tutaj...

— A z tymi nadużyciami?

— Manka są, piętnaście, osiemnaście tysięcy. Nawet tutaj w gospodzie były. Róż- nie się zdarza. Teraz ostat- nio w Rokitowcu był pożar w naszym sklepie u Pabi- sia. I to dwa razy w jed- nym dniu. Towar spółdziel- ni został zniszczony (wła- śność osobista Pabisia nie ucierpiała — dopisek M. Z).

Widzicie, to jest praca ner- wowa... a zresztą nie zależy mi, mam kawałek ziemi, który oddałem w dzierż- wę...

O sprawach nadużyć na posterunku Milicji Obywa- telskiej nie powiedziano mi nic: „ze względu na dobro śledztwa”, wobec czego grzecznie pożegnałem ko- mendanta i prezesa Makotę, który także tam przyszedł.

I znow wędrowka wokół rynku. Ta sama apteka, go- spoda, masarnia, w której kiedyś żona jednego z mie- scowych dostojników urzą- dziła karczemna awanturę drugiej pani w obronie wła- snego kochania. A więc, panie redaktorze, ludzie się kochają czy nienawidzą? Najtrudniej rozpoznać jest gdzie mieści się granica dzieląca kochanie od niena- wiści. A to co utrudnia ży- cie leży po której stronie granicy?

Pozostaje ten sam a jed- nak inny

reporter

list...
siodmy...
ostatni

Byłbym może nie napi- sal listu gdyby nie to dziwne spotkanie na rynku. Znow ten rynek, co? Rynek w miaste- czku, panie redaktorze, jest niczym zbiornik, o taki kwadratowy. W nim wszyst- ko i wszystkich można zo- baczyc. Dzisiejsze spotkanie z p. Kozą to potwierdza. Po- witanie było bez starop- lskiej „buźki” i jakiegoś inne, jak gdybym witał się nie z tym samym człowiekiem. Podszedł do mnie w towa- rzystwie jakiegoś pana i zaczął z wyrzutem:

— Poznaje mnie pan?

— No, oczywiście.

— Przedtem nie pan nie wspominał, żeś pan z prasy,

że będzie pan w Burzeni-

nie do dzisiaj. Szkoda, o niejednym byśmy pogadali, bo to, panie, dzisiaj na wsi, to... ech! Cholera człowie- ka bierze. Jedno się skoń- czyło, inne się zaczyna, gor- sze, tylko że na nową me- lodię. Chociaż co to by dała ta nasza rozmowa? Czy to panu wydrukują, jak napi- sze pan prawdę...?

W Panu nadzieję pokła- dam, redaktorze.

MARIAN ZDROJEWSKI



da kobieta z za bufetu jest rozmowna i z przechwał- ką w głosie opowiada o dziennej sprzedaży wódki. Naraz milknie, staje się nie- przystępna, małomówna. Za moimi plecami, pan w ele- ganckim futrze, opuszcza szybko rozbiegane ręce. Kierownik. Z pokoju obok dobiegają rochochocone, silne głosy, takie jakiegoś bardzo znajome... Skąd? Aha, te same zza stołu przydial- nego wspomnianego akademil — pierwsi ludzie miastecz- ka.

Moja rozmowa z wice- prezesem G.S. p. Malino-

BOLESŁAW

DUDZIŃSKI

AGOSTINO



O d czasu, gdy poeta nie- miecki, prekursor ekspre- sjonizmu — Frank Wede- kind, napisał głośną szt-ukę sceniczną „Przebudzenie się wiosny” (a było to w r. 1891), tymi właśnie słowami i zgodnie z treścią sztuki określa się czę- sto zespół psychologicznych zmian, towarzyszących okreso- wi dojrzewania. Rewelacja pici- w dorastającej istocie ludzkiej — to niewątpliwie bardzo do- nosły, niekiedy nawet decydu- jący, moment dla życia czło- wieka. Jest rzeczą zrozumiałą, że ten trudny, lecz interesujący temat od dawna przyciąga u- wagę pisarzy i w literaturze znajduje częste odbicie, bądź jako wątek główny utworu, bądź też jako istotny motyw uzupełniający. Z literatury pol- skiej wymienię tu w charakte- rze przykładów choćby tylko „Niemo w płomieniach” Para- dowskiego i „Zmory” Zagadło- wicza.

Temat, o którym tu mowa, jest co się zowie — delikatny. Żeby dać sobie radę z trudno- ściami tematu „przebudzenia się wiosny”, trzeba obok wy- bitnych zdolności introspekcyj- nych dysponować również sub- telnością pisarską dotknię- ciał. Dopiero to połączenie spo- woduje efekt, będący dla auto- ra sukcesem, a dla czytelnika satysfakcją.

Jeden z najwybitniejszych współczesnych pisarzy wło- skich — Alberto Moravia w swej opowieści „Agosti- no” udowodnił, że obie, wspomniane wyżej, kwalifi- kacje nie tylko posiada, lecz tak- że umie czynić z nich właściwy użytek. Bohaterem opowida- nia jest trzynastoletni chłopiec z zamożnej rodziny, dobrze wy- chowany, skromny i po dzie- cinnemu jeszcze naiwny. Ba- wiac latem z młodą i piękną matką na plaży, Agostino zbli- ża się przypadkiem z bandą uliczników i z ich ust dowia- duje się rzeczy, o których mu się dotychczas nawet nie śni- ło. „Wyjaśnienia” zdemoralizo- wanych wyrostków dotyczą m. in. stosunku matki Agostino do pewnego młodzieńca, z którym pognęta dama odbywa sam na sam dłuższe przejażdżki mor- skie.

Nie koniec na tym. Patronem bandy jest jakiś ohydny drab, przewoźnik czy też dozorca ka- pielowych kabin, który na swój sposób próbuje wyzyskać naiw- ność i nieświadomość Agostino. Szybkość i gwałtowność nie- spodziewanych odkryć stają się czymś w rodzaju gwałtu psy- chicznego nad spokojnym do- tychczas, zrównoważonym i ufnym Agostinem. Zmienia się i komplikuje jego uczucie do matki: ludzie i zjawiska otaczającego świata zaczynają na- bierać w jego oczach nowych, nieprzeciwstawnych dotąd, kształ- tów i wymiarów. Wstrząs jest wielki i tym dotkliwszy, że bu- rzy niepomniennie tylko myśl i wyobraźnię chłopca, podczas gdy jego rozwój fizyczny po- zostaje w stadium dziecięcości. Dlatego też nie udaje się wy- prawa Agostino do pewnego domu i zamkniętych żaluzjach na przedmieściu, gdzie spodzie- wał się uzyskać za pieniędże ostateczne wtajemniczenie, mó- gące zaspokoić bez reszty jego podniecone ciekawość. Wyrzu- cono go po prostu za drzwi, jak smarkacza — zaś autor kończy tę historię następującymi słowy: „Wiele jeszcze smutnego czasu musiak upłynąć, nim Agostino stał się mężczyzną”.

Streszczenie opowiadania Moravii, choćby najdłuższe, nie odda swobodnego wdzięku „Ago- stino”. Trzeba przeczytać tę książkę, by sprawdzić, jak ją ocenić.

odpłoty str. 9

KRÓTKI

PRZEWODNIK

PO ŁÓDZKIEJ
SPÓŁDZIELCZOŚCI
MIESZKANIOWEJ

ODGŁOŚY 1959

— 16 —

5. ZAKUP GOTOWYCH MIESZKAŃ I DOMKÓW

Istnieje wreszcie jeszcze jedna możliwość: spółdzielnie mogą zakupywać od rad narodowych gotowe już bloki i domki jednorodzinne — a następnie odstępować je na warunkach kredytowych członkom spółdzielni.

Członkowie spółdzielni typu lokatorskiego opłacają za takie mieszkania 20 procent sumy kosztów, a resztę należności — w ciągu 35 lat.

— 17 —

Członkowie spółdzielni własnościowych zakupują te lokale za 50 procent, a pozostałą sumę spłacają w ciągu 15 lat.

ŁÓDZKA SPÓŁDZIELCZOŚĆ MIESZKANIOWA WZNOWIŁA PO KILKULETNIJ PRZERWIE DZIAŁALNOŚĆ W CZERWCU 1957 ROKU. OD TEGO CZASU ZAZNACZYŁ SIĘ NIEMAL ZYWIÓŁOWY WZROST TEJ ORGANIZACJI. PRZY TYM WYPADA OD RAZU STWIERDZIĆ, ŻE NIMO TAK BURZLIWEGO ROZWOJU, ODBYWAŁ SIĘ ON PRAWIDŁOWO.

— 18 —

A oto pełna lista łódzkich spółdzielni ze zwięzłym omówieniem ich działalności. Dla tych, którzy chcą zasięgnąć bliższych informacji „u źródła” — podajemy nawet adresy zarządów spółdzielni.

1. „LOKATOR”. Spółdzielnia typu lokatorskiego, ogólnomiejska (otwarta). Liczy obecnie 1.040 członków. W roku 1958 spółdzielnia ta wybudowała 644 izby w stanie surowym. W roku bieżącym — odda do użytku 500 izb. Adres zarządu — ul. Lokatorska 9/13, tel. 436-06.

2. „OSIEDLE MŁODYCH”. Typ lokatorski, ogólnomiejski. 566 członków. 1958: 216 izb od-

— 19 —

danych użytkownikom, 528 w stanie surowym. Plan 1959: 432 izby oddane, 312 w stanie surowym. Adres zarządu: Piotrkowska 262, tel. 400-41.

3. „NASZ DOM”. Typ lokatorski, ogólnomiejski. 218 członków. 1958: 47 izb w stanie surowym. Plan 1959: 133 izb gotowych, 341 w stanie surowym. Adres zarządu: Jarcza 92.

4. „OLIMPIA”. Spółdzielnia lokatorska, przyzakładowa. 133 członków. 1958: 47 izb w stanie surowym. Plan 1959: 47 izb gotowych, 141 w stanie surowym. Adres zarządu: Piotrkowska 242, tel. 401-20.

— 20 —

5. „STAROMIEJSKA” — lokatorska, przyzakładowa. 124 członków. Plan 1959: 249 izb w stanie surowym. Zarząd: ul. Rewolucji 1905 roku — 21. Tel. 398-70, wewn. 34.

6. „ROBOTNICZA SPÓŁDZIELNIA MIESZKANIOWA im. GŁĄŻEWSKIEGO” — lokatorska, przyzakładowa. 112 członków. Plan 1959: 182 izby w stanie surowym. Adres: ul. Krzemieniecka 2. Tel. 200-02.

7. „WIDZEWIANKA” — lokatorska, przyzakładowa. 30 członków. Plan 1959: 60 izb w stanie surowym. Adres: ul. Niemińska 2/6. Tel. 251-00, wewnętrzny 195.

8. „PROZAMET” — lokator-

Gdy przy końcu roku 1957 grupa pracowników Zakładów Dziwiarskich „Olimpia” rzuciła myśl stworzenia własnej spółdzielni mieszkaniowej, ludzie mówili: „Prędzej nam kaktus na dłoni wyrośnie, niż dostaniemy od was choć jedno mieszkanie”

O tym, jak zamiast kaktusa wyrósł blok robotniczy

LESZEK
WITCZAK

Inicjatorami spółdzielni byli: kierownik oddziału produkcyjnego, p. St. Podgórska, sekretarz rady robotniczej, p. H. Tomczakowa i główny mechanik, p. Polaszczuk.

W styczniu 1958 r. odbyło się zebranie organizacyjne spółdzielni.

Pani S. Podgórska (prezes spółdzielni) wraz z członkami zarządu obchodziła oddziały produkcyjne, namawiała robotników, aby zapisywali się do spółdzielni. Sukces oszalał: Chętnych znalazła aż 16... A załoga „Olimpii” liczy 1.800 ludzi. Większość z nich wierzyła ciagle, że „prędzej kaktus na dłoni...”

Tymczasem zarząd spółdzielni rozpoczął starania o budowę pierwszego bloku.

Największą trudność sprawiło uzyskanie lokalizacji. To znana pięta achillesowa spółdzielczego budownictwa. Nie tylko zresztą pięta achillesowa, ale i własne pięty, dzierżane w piegrymkach do Zarządu Architektury i Budownictwa oraz PRN m. Łodzi, dawały się we znaki działaczom spółdzielni.

Wreszcie uzyskano lokalizację przy ul. Wólczańskiej 125, przy czym nie obeszło się bez pomocy przewodniczącego PRN m. Łodzi, E. Kaźmierczaka. Nazwisko: Kaźmierczak — wymawiają pracownicy „Olimpii” z tajemniczym uśmiechem i zupełnie nieoficjalnym sentymentem... Przecież to patron ich spółdzielni... (Wzdycham sobie — na pewno w trudniejszej sytuacji muszą być przyzakładowe spółdzielnie mieszkaniowe, które nie mają takiego patrona).

Po uzyskaniu lokalizacji nie skończyły się jednak trudności spółdzielców, lecz weszły w stadium wyższe i bardziej skomplikowane.

Gdy w lipcu 1958 r. przystępowano do budowy pierwszego bloku, budowniczych powitała zamknięta brama i „żywy mur” z lokatorów sąsiedniej kamienicy, które oświadczyły, że nie pozwolą tu nie budować.

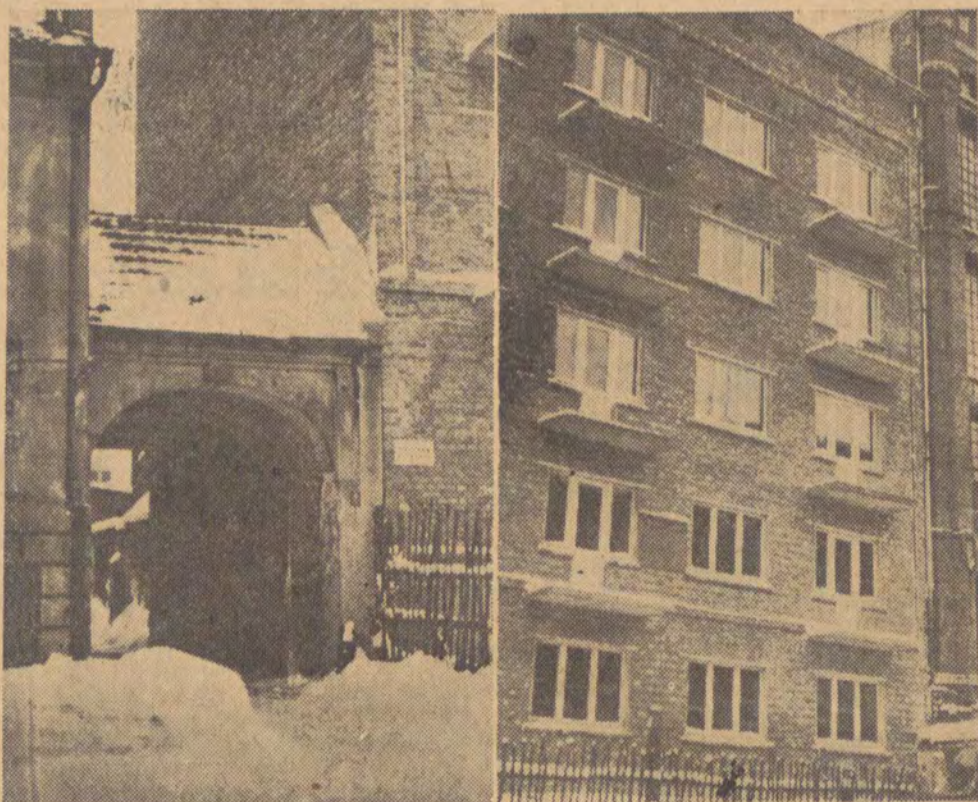
— Dzieci nam pozabijacie, a w ogóle idziecie sobie gdzie indziej...

Trzeba było interwencji MO, by złamać opór tej babskiej armii i wyważyć bramę.

I tak zamiast kaktusa na dłoniach pracowników „Olimpii”, wyrósł przy ul. Wólczańskiej nowoczesny blok. W początkach maja br. wprowadził się tutaj 17 lokatorów.

Znajdując się obok Zakładów im. Konopnickiej zobowiązały się zelektryfikować i ogrzewać blok, dopóki nie zostanie on przyłączony do elektrociepłowni. (Oczywiście nie jest to bezinteresowne — „Olimpia” przyjmuje do swych spółdzielni pracowników innych zakładów dziwiarskich).

A w „Olimpii” nikt już nie



To w tej właśnie bramie powitał budowniczych „żywy mur” protestujących kobiet. A oto i blok, który wyrósł zamiast rzeczono kaktusa.

agituje za wstąpieniem do spółdzielni. Chętnych jest dwa lub trzy razy więcej niż wolnych miejsc.

BŁĘDNE KOŁO

Latem 1958 r. spółdzielnia zgłosiła wniosek o lokalizację następnych bloków. Zamknięto listę 44 przyszłych lokatorów (w 1/4 sa to pracownicy fizyczni w odróżnieniu od I tury, w której na 17 osób było 6 pracowników fizycznych). Mają oni otrzymać mieszkania na przyszłą wiosnę. A tymczasem zasypują prezesa spółdzielni, p. Podgórską pytaniami: — Jak z lokalizacją? Kiedy zaczniecie budować?

I tu zaczyna się błędne koło. P. Podgórska wywołuje z szafy umowę ze Spółdzielczym Przedsiębiorstwem Budowlanym nr 1, które gotowe jest rozpocząć budowę.

— Umowy tej nie możemy ze swojej strony podpisać — mówi p. Podgórska — albo wiem nie mamy tytułu własności na działkę, którą nam wyznaczono pod budowę. Bez tytułu własności nie możemy uruchomić kredytów bankowych i mówiąc prościej — mamy pieniądze, a nie możemy ich wykorzystać. W tych dniach na posiedzeniu Prezydium RN ma zapadnąć decyzja o przyznaniu nam tytułu własności, ale...

Przerzywa nam telefon...

Pani Podgórska odkładając

sluchawkę, spogląda na mnie porozumiewawczo: — O wilku mowa... Okazuje się, że decyzja odwiecie się znów o parę dni...

— Wie pan, boję się, żeby SPB „nie rozmyśliło się” (tak długo nie podpisujemy umowy) i nie zostawiło nas na lodzie.

Najpierw mieliśmy kłopoty z lokalizacją... Musiał interweniować znów przewodniczący PRN m. Łodzi. Po długich targach, otrzymaliśmy lokalizację przy ul. Piasta. Nie wszystkim ona się podoba. Ludzie narzekają, że daleko od tramwaju, puszkowie, strach wracać z nocnej zmiany...

Można już wyciągnąć smutny wniosek, że lokalizacja i przyznanie własności — to dwie groźne choroby, trawjące spółdzielcze budownictwo i hamujące jego rozwój.

Uzyskanie lokalizacji w śródmieściu jest niemożliwe ze względu na ciasnotę. Działek jest niewiele, a te które są, to przeważnie własność prywatna albo Dyrekcji Budowy Osiedli Robotniczych.

Właściele prywatni niechętnie sprzedają działki. DBOR, jeśli odstąpi spółdzielni działkę, to przeważnie (aka, której, mówiąc językiem budowniczych „nie można ugrzyźć”. Poza miastem znów teren jest nieuzbrojony, a środki finansowe spółdzielni nie pozwalają na dodatkowe wydatki.

Znów więc błędne koło! Niektórzy spółdzielcy marzą już o dekreście, który by pozwolił na odpłatne wywłaszczenie nie budujących się prywatnych właścicieli działek położonych w śródmieściu. I równieź marzą o zdobyciu sympatii Zarządu Architektury i Budownictwa oraz DBOR.

Nawet po uzyskaniu lokalizacji nie kończą się kłopoty spółdzielni. Lokalizacja jest, ale nie ma tytułu własności itd. (patrz wyżej). Wydanie lokalizacji powinno być równoznaczne z przyznaniem tytułu własności. Warto o tym pomyśleć.

SUMA I POKUSY

Pokusy? — Własne, wygodne mieszkanie. Suma? — Według przewidywanych obliczeń koszt dwupokojowego miesz-

kania w bloku wyniesie ok. 168 tys. zł.

Rada robotnicza „Olimpii” uchwaliła, że każdy członek spółdzielni mieszkaniowej otrzyma 15 tys. zł bezwzględnej pożyczki. W dniu wprowadzenia się pracownik wpłaci 7 tys. zł. Część kosztów pokryje państwo. Resztę spłaci pracownik w ciągu 40 lat. Miesięczna suma do spłaty (razem ze świadczeniami) wyniesie ok. 400 zł. Jest to suma dość znaczna. Niejeden by się w głowę poskrobał. Ale zarobki pracowników „Olimpii” są względnie wysokie. A zresztą, nawet koszt pewnych wyrzeceń dobrze mieć pewność, że za rok czy pół roku, otrzyma się własne mieszkanie. (Przez okres 9 lat tylko 3—4 pracowników „Olimpii” otrzymało mieszkania „od kwaterek”).

Chciałbym jeszcze zatrzymać się nad pewną sprawą: są pracownicy średnio zarabiający, którzy mają na wyłącznym utrzymaniu liczne rodziny. Mieszkają oni nieraz w opłakanych warunkach, ale pustą kieszeń czują mocniej niż pokusę mieszkania.

Ot, pani Wojtkowiak, pracownica umysłowa, wycofała się z „pierwszej tury” na skutek trudności finansowych. Zarabiała 1.500 zł, utrzymuje z tego siebie i troje dzieci. Od 1945 r. stara się o mieszkanie poprzez kwatunek. Wielokrotnie była u niej komisja, która uznała jej warunki mieszkaniowe za bardzo ciężkie. Wszystkie starania jednak zawiodły. Myślę, że byłaby bardzo pokrzywdzona i kobieta, gdyby i we własnym zakładzie pracy nie uzyskała mieszkania ze względu na trudności finansowe.

Pani Wojtkowiak i innym pracownikom, znajdującym się w podobnej sytuacji, zakład pracy powinien pomóc. Trudno określić formę tej pomocy. Nie wątpię, że załoga „Olimpii”, która wykazała tyle inicjatywy w organizowaniu spółdzielni mieszkaniowej, poraź uczciwie, po robociarsku, rozwiązać i to zagadnienie.

Od dzisiejszego numeru zaczyna-

my nową serię pytań konkursu „Wszystko o mieszkaniach”. Pytania dotyczyć będą materiałów zawartych w poprzednich odcinkach naszego cyklu. Czytelnicy, którzy gromadzili publikacje konkursowe — potrafia, chyba bez trudu, znaleźć odpowiedź na poniższe pytania:

KUPON NR 6

a) Ile wynosił wskaźnik zagęszczenia na 1 izbę w Łodzi w roku 1939?

b) Ile wynosił tenże wskaźnik w roku 1957?



— 21 —

ska, przyzakładowa. 30 członków. Plan 1959: 90 izb w stanie surowym. Adres: ul. Włocławska 21, tel. 360-48, wewn. 15.

9. „DOM SPÓŁDZIELNI PRACY”. Lokatorska, przyzakładowa. 61 członków. Adres: pl. Zwycięstwa 2. Tel. 281-20, wewn. 8.

10. „ROBOTNICZA SPÓŁDZIELNIA MIESZK. ŁÓDZ-RUDA” — lokatorska, przyzakładowa. 104 członków. Adres: ul. Wróblewskiego 19/23. Tel. 437-25.

11. „ZDROWIE” — lokatorska, przyzakładowa. 75 członków. Adres: al. Kościuszki 69. Tel. 339-48.

12. „OGNIWO” — typ wła-

— 22 —

nościowy, buduje bloki. 208 członków. 1958 — 24 izby oddane. Plan 1959: 240 izb gotowych, 90 w stanie surowym. Adres: ul. Nowa 52. Tel. 369-57.

13. „ZWAT” — typ własnościowy, buduje domki jednorodzinne. 1958 — 84 izby w stanie surowym. Plan 1959: 84 izby gotowe, 64 w stanie surowym. Adres: ul. Wróblewskiego 16/18. Tel. 420-70.

14. „SPÓŁDZIELNIA BUDOWLANO — MIESZKANIOWA b. Pracowników Urz. Wojewódzkiego” — typ własnościowy. W chwili obecnej nie buduje, a jedynie administruje domami. Adres: ul. Zacisza nr 4.

— 23 —

15. „WSPÓŁPRACA” — własnościowa, buduje bloki. 20 członków. Plan 1959: 60 izb w stanie surowym. Adres: ul. Piotrkowska 118. Tel. 282-27.

16. „ESKULAP” — własnościowa, buduje bloki. 21 członków. 1958 — 65 izb w stanie surowym. Plan 1959 — 65 izb gotowych. Adres: ul. Piotrkowska 3. Tel. 295-81.

17. „PRZYSTAN” — własnościowa, buduje domki jednorodzinne. 240 członków. 1958 — 126 izb oddanych, 166 w stanie surowym. Plan 1959: 166 izb gotowych, 240 w stanie surowym. Adres: ul. Notecka 4/10.

18. SP. BUDOWL. MIESZK. B. PRAC. KOMUNALNYCH.

— 24 —

52 członków. Typ własnościowy, domki jednorodzinne. Adres: ul. Narutowicza 109.

19. „22 LIPCA”. Własnościowa, domki jednorodzinne. 26 członków. Adres: ul. Obrońców Stalingradu 104.

20. SP. NAUCZYCIELSKA — typ własnościowy, domki jednorodzinne. 14 członków. Adres zarządu: ul. Piotrkowska 137.

21. SP. BUD.-MIESZK. przy ŁÓDZKIM ZARZĄDZIE BUDOWNICTWA. — Typ własnościowy, domki jednorodzinne. Adres: ul. Piotrkowska 55.

22. „START”. Spółdzielcze Zrzeszenie Budowy Domków Jednorodzinnych. 31 członków. 1958 — 40 izb oddanych, 84 w



KALENDARZYK TYGODNIA

Ignacego

Słońce zadowolone z pod-
rzuconej mu nowej planety
nie przestaje obracać się
wokół własnej osi; trwa na
tych samych obrotach, co
zawsze. Wstaje do pracy o
tej samej godzinie, co przed
milionami lat, a więc o
7.32; kładzie się spać o 16.04.
Księżyc też wschodzi i za-
chodzi bez przeszkód. W Za-
kopanem trwa sezon łama-
nia rąk i nóg oraz pokazy-
wania ostatnich „krzyków”
mody narciarskiej. Ale ci,
których stać na przeżywa-
nie w beznadziejnych restau-
racjach, nie przestają poz-
walać sobie na zjazdy do
Rygi.



„Jeśli nie jesteśmy Fran-
cuzami Północy to na pew-
no jej niedziwiedziami”.

Horoskopy Lunaparku

Urodzeni w trzeciej deka-
dzie wpływu „Koziorożca”
mają cerę o zabarwieniu
śniadym, skłonni są do chro-
nicznego kataru, lubią wy-
śmiewać swe otoczenie. Je-
śli się urodzili w czwartek
(w dzień), a więc pod
wpływem planety Jowisz, to
lubią rozrywki i słodycze,
podobnie jak ludzie urodze-
ni w nocy na niedzielę; jeśli
się urodzili w nocy na
czwartek, to obdarzeni są
wielką fantazją, czyli umie-
ją robić z igły widły (jak
osobnicy urodzeni w nie-
dziele w dzień a więc pod
wpływem słońca). Wyborny
materiał ludzki do pracy w
Delikatessach, cukierniach i
fabrykach słodyczy, świetny
element do przesładywania

w kawiarniach i nie wyzy-
skany surowiec ludzki do
wytwarzania katarów, wi-
deł i plotek... W wojnie
bakteriologicznej jako ko-
mandosi zarażający wroga
katarami niezaprzeczają!
Użyci w bitwach do rozsmie-
szania artylerzystów, lotni-
ków i atomowych kanonic-
rystów wspaniali. Już sa-
mo ich pojawienie się w fa-
brykach widel podnosi
wskaźnik produkcyjny 100.

Kącik dla abstynentów

Wyprawa Argonautów do
Kolchidy (na Krymie) ni-
czym innym nie była jeno
awanturą eskapadą greck-
kich bikiniarzy udających się
łodzią po wino krymskie,
nie jakieś tam złote runo.
Dżengis-char, podchmielony
wódka z kobylego mleka
(kumysem) rozbił się po
Azji i Europie jak najwy-
czajniejszy chuligan po ul.
Kruczej na Chojnach albo
wspomniany już przez nas
Aleksander Wielki, który,
jak nam donoszą w listach,
dlatego tylko zalewał na-
łogowo robaka, bo chciał się
upodobnić do greckiego bo-
zka opilstwa, Dionizosa. In-
dyjski bożek, Indra, wypijał
za jednym zamachem trzy-
dzieści wiader upajającego
płynu, zwanego somą... Nie
czytał bowiem książki
nieżyjącego prof. dr A. Dry-
skiego „Mózg i dusza”, z
której wynika, że alkohol
wywołuje zmiany rozkłado-
we w płazmie komórkowej,
rozpuszcza i wyciąga tak
zwane lipofidy, w stężeniu
niszczy w tym samym stop-
niu tkankę nerwową co
olej i rtęć.



Maria Walawender-Kuroz-
weczka, Kościelisk Dolny,
pow. Łęczyca. Píše pani:
„Nad brzegiem Udańgi
ziewały orangutangi.
Małpki, głupie matolki,
wywracały swe koziołki.
Magot siedząc na akacji
trwał w przewlekłej
konwersacji
ze starym tatą pawianem
— gestykulując kolanem.
Były tam i małpy inne
jak zwykle w szczęściu
rodzinnym”.

Brawo, dzielna Mario!
Jeszcze parę takich prób, a
zasiadłszy pani do pisania no-
wego Pana Tadeusza; bę-
dziesz uczyła poetów trud-
nej i niepopularnej sztuki
pisania nowoczesnych wier-
szy.
Staszek Wata, Sieradz.
„Dlaczego kura pije a nie
wydala mocz?”
Dlaczego ten ptak grzebiący
pije bezowocnie, na to od-
powiedź może pan znaleźć
w książce „Kto, kiedy i dla-
czego”, wydanej przez
„Iskry”. Proszę tę książkę
kupić; kupiwszy, przeczytać.

Lunapark redaguje Zyg-
munt Fijas. Listy prosimy
kierować „Odgłosy”, Łódź,
ul. Piotrkowska 89 z adno-
tacją „dla Lunaparku”.

Redaguje Zespół. O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa
Łódzka” O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 98. Tel. 244-79.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 4,- zł, kwartalnie 12,- zł.
Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca. O Prenu-
meracie przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Ilustrowane
oraz PUPIK „Ruch” — Łódź, ul. Roosevelta 17. Konto PKO —
Łódź 7 — 6-579 z zaznaczeniem na „Odgłosy”.
Druk RSW „Prasa” — Łódź, Żwirki 17. Z. 290. 1. 59. S 3

NAJOSTRZEJSZE OŁÓWKI



CARL HOLZ

Na ogół nie doceniamy
współczesnego humoru nie-
mieckiego, który się prze-
cieć nie kończy na Nobercie
i Fischerze. Pojawiało się w
ostatnich latach wielu mło-
dych rysowników: potrafili
oni zerwać z niedobrymi
tradycjami grubego i piepr-
nego dowcipu pruskiego.
Najczęściej odbywało się to
drogą „odkrywania Amery-
ki”. To znaczy — rysownicy
ci przejęli i rozwinęli świet-
ne osiągnięcia humorystów
amerykańskich, od razu też
dowcip im się zaostriżył...

Carl Holz zapatrzył się
na bliższe wzory — francus-
kie. Widać w jego pysznych
żartach wyraźny wpływ spe-

cyficzno humoru Chavala
i Andre Francois. Z tym
jednak, że Holz nie poszedł
tak daleko w konstruowaniu
absurdalnych sytuacji, jak
obaj Francuzi. Holz ukazu-
je sytuacje, oparte na para-
doksalnym, lecz ostatecznie
możliwym zbiegu okoliczno-
ści. Jego bohaterowie są u-
wikłani w zadziwiający spłot
przypadków, który nie poz-
wala na spełnienie ich za-
mieření.

Sporo w tym wszystkim
ironii, ale da się także wy-
czuć nutkę jakiejś bliżej
nieokreślonej melancholii,
zadumy.

Holz należy do płodnych
i pracowitych karykaturys-
tów, rysuje stale dla wielu
magazynów NRF i Szwaj-
carii, m. in. dla „Neue Illu-
strierte”, „Müncher Illu-
strierte”, „Quick”, „Sie und
Er” etc.

J. W.

Mieszanińcy

POD REDAKCJĄ JANA HUSZCZY

Przypominamy...

...iż w dn. 7. II. upływa
termin nadsyłania odpowie-
dzi na konkurs literacki, o-
głoszony w „Mieszanińcach”
z 7. I. 1959 roku!

...iż uczestnicy konkursu
będący z zawodu organiza-
torami imprez artystycznych
lub recenzentami literacko-
teatralno - filmowymi weź-
mą udział w losowaniu na-
gród nawet wtedy, gdy tra-
fnie odpowiedzą na 4 spośród
7 pytań!

Nasz odcinek powieściowy

TRAGICZNA ŚMIERĆ
RODZINY PIJAKA
CZYLI ZA WINY
NIEPOPEŁNIONE

Lecz w tej rozpacz-
nie siebie strzeliła
Bo nerwy już nie
dały
Do pierś mocniej dzie-
cięci
I tak w objęciach skonały.
W tym czasie pijak ze snu
się budzi,
Coś mu spać dłużej nie
dało,
Wybiega z domu, pyta się
ludzi,
Przeczuwał, że coś się
stało!

Jeszcze ma ślepią
zapijaczoną,
Pot mu się leje po czole,
Chciałby najprędzej
odnaleźć żonę,
Więc leci prosto na pole...
(d. c. n.)

KALIKST ŁASICZKA

W bęben ktoś...

W bęben ktoś wali miarowo
może godziny ze trzy:
smutek szarpiący na nowo
wyciska z oczu mych łzy!

W bęben ktoś wali miarowo
może godziny ze trzy:
młodość znów szłocha
dąbrową

i pachną przeszłych lat bzy!

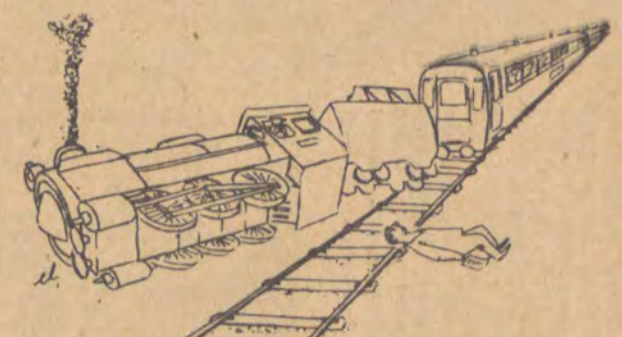
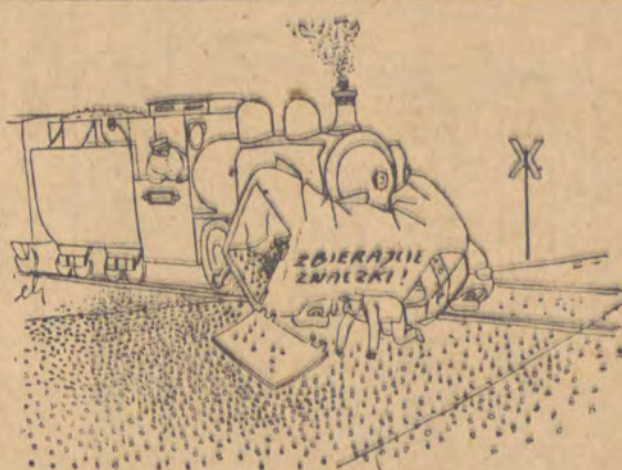
W bęben ktoś wali miarowo
może godziny ze trzy:
drobiu wystawę krajową
zwiedzała ze mną, ach, ty!!!

PRZESTAŃCIE DŁUBAC
W ZEBACH KAŁOZAMI!
(Szczegóły w jednym z naj-
bliższych numerów!!!)

Przegląd prasy

Tygodnik „Polityka” (nr 3)
w reportażu z Wałbrzycha,
opisującym troski material-
ne i kulturalne miasta, m.
in. opowiada:
„A już zapewne godne
odnotowania w kronikach
jest „głośnie” wystąpienie
jednego z rajców miejskich
sugerujące ni mniej ni wię-
cej tylko (uwaga!)... utwo-
rzenie swobodnego getta dla
„wszystkich tych łapi-
chów od tej tam kultury”.

Szkoda, że nie podano naz-
wiska owego rajcy. Mogłoby
się stać przysłowiowym na
określenie tego rodzaju po-
staw i wystąpień. Znanymi
niestety — nie tylko w Wał-
brzychu!



Skoro już jesteśmy na Zie-
miach Zachodnich, sięgnijmy
jeszcze po „Tygodnik młód i
powieści” z 1887 roku, aby
przytoczyć z niego następu-
jącą notatkę:

„Towarzystwo przemy-
słowców polskich we Wro-
cławiu odbyło w ub. kwar-
tale 15 posiedzeń, wygłoszo-
no m. in. następujące od-
czyty: „O staraniu Kazimie-
rza Wielkiego o dobro ludu
polskiego”, „Ostatnie chwi-
le hetmana Czarnieckiego”,
„Wewnętrzne stosunki w
Polsce pod panowaniem do-
mu saskiego”.

Ów radny wałbrzyski,
gdyby żył w owym czasie
we Wrocławiu, na pewno
występowałby i przeciwko
tej akcji odczytowej!!!

Nowy dyrektor

— Jakże tam pracuje się z
nowym dyrektorem? — za-
pytałam panią Marię, gdyś-
my — radzi z przypadkowe-
go spotkania — stali po zu-
pie w barze mlecznym.

— O, pan Peimiak to zu-
pełnie inny człowiek! — za-
wolała z uznaniem pani Ma-
ria, zanurzając już łyżkę w
zupie, noszącej — nie bardzo
wiadomo, dlaczego — nazwę
grzybowej. — Za tamtego

dyrektora to był istny ha-
rem!

— Pamiętam, pamiętam...

— Wszystko było tak za-
chachnęcone — ciągnęła pa-
ni Maria — kochanki robiły
w biurze, co chciały. A po-
nieważ często je zmieniał, to
nigdy nie było wiadomo, z
którą siksą jak rozmawiać,
żeby się nie narazić...

— Zaś u Peimiaka?

— U Peimiaka powiało in-
nym wiatrem: podfruwajki
poszły w ką! Żeby wypom-
pować dawne, przeerotyzo-
wane powietrze. Peimiak
zdobył się na stanowczy
krok: na sekretarza przyjął
młodego, sympatycznego
chłopca; mężczyźni też obję-
li kilka innych stanowisk...
Teraz to różowo patrzę w
przyszłość...

— To bardzo się cieszę,
pani Mario!

— Może ustana wreszcie
te wszystkie intrygi, które
u nas ludzi tak rozkołysa-
ły?!

— Ustana! — powiedział-
am, utwierdzając siłowosłą
panią Marię w jej pięknym
 optymizmie. — Ustana, pani
Mario! — powtórzyłem.

Po co bowiem miałem po-
czciwa panią Marię rozczar-
owywać?!



— 25 —

stanie surowym. Plan 1959: 104
izby gotowe. Adres: ul. Poje-
zińska, róg Rumuńskiej.

23. „WŁADZA STRZECHA”.
— Typ jak poprzednia spół-
dzielnia. 1958 — 71 izb w
stanie surowym. Plan 1959 — 71
izb gotowych.

24. „ZJEDNOCZENIE”. Typ
— jak wyżej. 40 członków.
Adres: ul. Wólczańska 145, tel.
350-12.

25. SP. BUDOWL.-MIESZK.
BYŁYCH PRAC. MIEJSKICH.
Typ własnościowy, domki jed-
norodzinne. 50 członków. Ad-
res: ul. Mostowa 19a, tel.
221-76.

Jak wynika z powyższego,

— 26 —

mamy w Łodzi 25 spółdzielni
mieszkaniowych, prowadzących
różnego rodzaju działalność in-
westycyjną i zarządzającą. Od-
dały one do użytku ogółem w
roku minionym 410 izb (121
mieszkań), a doprowadzono do
stanu surowego 2.172 izb (764
mieszkania).

Na tym jednak nie koniec.
W ciągu ubiegłego roku spół-
dzielcy otrzymali więcej mie-
szkań, niż to wskazywały powyż-
sze dane. Spółdzielnia „Loka-
tor” zakupiła od Rady Nardo-
wej kilka bloków mieszkalnych
(684 izby) — do których stop-
niowo wprowadza swoich
członków.

Plan na rok 1959 przewiduje,

— 27 —

że spółdzielcy zbudują ogółem
1.842 izby (643 mieszkania) w
stanie gotowym oraz 2.356 izb
(855 mieszkań) — w stanie su-
rowym. Ponadto prowadzone
są pertraktacje z władzami
miejskimi o zakup dla spół-
dzielców w roku 1959 — 1.200
izb. Z tego:

700 izb otrzymają spółdziel-
nie robotnicze,
350 izb — otrzymają spółdziel-
nie lokatorskie, ogólnomiejskie,
150 izb otrzymają spółdziel-
nie własnościowe.

Omawiając poszczególne ty-
py spółdzielni (patrz numer
poprzedni) podawaliśmy tylko
procentowo wysokość

— 28 —

wkładu kandydata na mieszk-
kanie. Pora teraz powiedzieć,
ile to kosztuje w konkretnych
złotówkach.

Wysokość kosztów mieszka-
nia obliczana jest według ko-
szów budowy 1 metra kwa-
dratowego powierzchni użyt-
kowej. Wlicza się w to także
przedpokój, kuchnię, łazienkę
i ubikację.

Koszt jednego metra kwa-
dratowego wynosił w budow-
nictwie blokowym łódzkiej
spółdzielczości ok. 2,800—3,000
złotych w zależności od wy-
posażenia mieszkania (np. czy
został podłączony gaz).

— 29 —

Teraz więc obliczyć łatwo:
mieszkanie trzyizbowe, o po-
wierzchni 50 m.kw, kosztuje
ok. 140—150 tysięcy złotych.
Za takie mieszkanie w spół-
dzielni typu własnościowego
musimy wpłacić 28—30 tys.
złotych. Reszta, w postaci kre-
dytu bankowego — zostaje
rozłożona na 25 lat.

Uwaga, Czytelnicy i Kolek-
cjonerzy naszego „Przewodni-
ka” po łódzkiej spółdzielczości
mieszkaniowej! Za tydzień
dokończenie L... następny
„Przewodnik”.

